









PIOTR JAKSA BYKOWSKI.

# GLINKOWIE

Stara historia starego rodu.

Przedruk z „Romansu i Powieści“

INSTYTUT  
BADAŃ I PRAC KIBICZAN  
Biblioteka  
ul. ... 1 i Nr 72  
00-...  
Tel. 26-63 63, 26-62-31 w. 42

WARSZAWA.

Druk E. Lubowskiego i S-ki  
Mazowiecka Nr. 8.

1887.



Дозволено Цензурою,  
Варшава, 29 Мая 1887 года.

433.

*Panu Maryanowi Gawalewiczowi potom-  
kowi Glinków po kądzieli, z serdecznym  
afektem przesyła autor.*





## I.

Starożytny to jest dom Glinków Wiskich, a mnogiemi rycerskimi czynami wsławiony; dośćby powiedzieć, iż wielu z nich zasłało swemi walecznemi ciałami pola Grunwaldu i Działdowa. Co do zamożności tego rodu, to krom tego iż oddawien dawna posiadali liczne zamki, grody i siola, ale nawet cały powiat Wiski, który (jak twierdzi Bielski) wykupiła od nich Xiężna Anna Mazowiecka za sumę 20 tysięcy złotych—do nich należał.

Wszelako nietyłe nam tu idzie o prozapię rodu, której świadectwa snadno w starych kronikach odszukać, lecz właśnie zaznajamiamy się z nim w upadku, kiedy za ostatnich czasów Rzeczypospolitej, już podupadł i znędzniał, a resztki jego już się przyczaiły w rodzinnej wsi Glińsku, którą przodek ich Mikołaj Glinka, kasztelan Wiski, a sławny wojownik za czasów króla Batorego, założył na ziemi własnem męstwem

zdobytej. Krom tego tenże Mikołaj posiadał 56 wsi i 7 miast.. A dziś? ta nieubłagana *fortuna variabilis* tłocząc potomków jego przez dwa wieki, rozdrobiła ich do tyła, iż ile niegdyś miał wsi przodek, tylu teraz a może i więcej potomków na mizernych się resztkach rozsiadło i z dawnej potęgi zeszło do smutnego upadku, dla którego nowsza nomenklatura fatalizmu, wynalazła pogardliwe miano „drobnej szlachty.”

Glińsk, jak się to działo z podobnemi wsiami szlacheckimi, był zamieszkały przeważnie przez jedną rodzinę Glinków, za wyjątkiem niektórych innych rodów, które tytułem wiana za Glinczankami części ziemi pobrały, lub jurystów, którzy korzystając z ciemnoty dziedziców, wdarli się na ich nędzne działki, przez procesa, zastawy i t. p. pieniactwa.

Ciekawa zaprawdę jest charakterystyka tych wsi rodowych, czyli pospolicie u nas „szlachetczyznami” zwanych, które zanim zupełnie wyszły z rąk dawnych dziedziców, drobiąc się na nieodróżgalne prawie atomy, jeszcze w pierwszej połowie niniejszego stulecia zachowały dawną oryginalną cechę. Doprawdy to rozdrabianie dziedzictw przez rozradzanie się i utratę mienia dochodziło już do takich ułamków, że niejednen by matematyk głowy nad niemi nałamał. Bywało kilku lub i kilkunastu dziedziców na jednego chłopca i (co nieodzowna) karczmę. Bo jakże

bez karczmy i żyda dziedzictwo obejść się mogło?—Co prawda, często sam dziedzic lub dziedziczka najmowała się do żyda na służbę, ale nigdy do owej karczmy, bo to uwłaczałoby godności, ale do sąsiedniej.

Smutny zaprawdę był stan poniżenia i ciemnoty w tych ludziach. Ale cóż zaprawdę mieli począć pozostając pod despotyzmem przesądów? Łokieć i miarka, a wszelki proceder mieszczański pod utratą szlachectwa były niedostępne; nauka dała się zdobyć za ledwie jakimś setnemu szczęśliwcowi i jeżeli który dowcipniejszy dostał się do palestry, to była już wielka karyera, iż tam nędznie przeżył łaską, prawujących się. Jedynym szczęściem była wojna, bo tam mógł przeżyć, a czasem i obłowić się. Ale gdy czasy dłuższego pokoju nastaly, całe pokolenia po wsiach gnuśniały.

Atoli zawsze byli to dziedzice. Bo czy jeden szlachcic o dziesięciu chłopach albo dziesięciu szlachty o jednym chłopie, zawsze to *natus, possessionatus* i kwita! — Chociaż nie przewyższali chłopów ani rozumem, ani wychowaniem, jednak ucząc ich tak zwanego *moresu*, oddawali chłopom w bucie i pysze, to co sami przenosili od magnatów. Różnili się od chłopstwa tylko powierzchownymi znakami: najprzód odmiennym krojem kapoty, chociaż z tego samego siermiężnego sukna, kołnierzem przy koszuli, czap-

ką rogatywką, a najbardziej szabelką przyczepioną w dniu świąteczne do kościoła. Niewiasty czepcem świątecznym ze szlarką, lub w dniu powszednie nawiązaniem chustki na głowie. Także wyróżniały się ich mieszkania ganeczkiem o dwóch słupkach i okutymi oknami; tych zaś dwóch atrybucji chłop nie śmiał sobie przyswoić, jakby nadanej mocą szczególnego przywileju; lubo często się wydawało, iż chłopskie pomieszkание było porządniejszem od szlacheckiego. Jeżeli szlachcic robił w polu, tym go odróżniłeś od chłopca iż na między szablę zatykał. Te jedne były dyferencje, bo chętnie z chłopami się bratali, upijali i tańcowali w karczmach.

Nie jeden nawet biedak szlachcic dla sytuacji ożenił się z bogatą chłopką, a choć na to panowie bracia kręcili nosem, lecz to się jeszcze tolerowało, na zasadzie iż indygenat szlachecki pokrywał niższość stanu i urodzenia. Atoli żeby szlachcianka miała poślubić chłopca, tego by za nic nie dopuścili.

*Ab uno disce omnes* i Glińsk był taki sam jak inne szlacheckie wioski, a mieścił w sobie kilkanaście odrębnych rodzin Glińskich, chociaż jednego szczepu ale już sobie nie pokrewnych, które dla odznaczenia przybierały czasem rozmaite imioniska jako to: Wiskowie, Strzyżowie, Ciemierzyńscy, Pokutyńscy, Rozańscy, Orlikowscy i t. d.—Trudno dziś dociekać o ile by się dały historycznie

usprawiedliwić te przezwiska, ale to pewno że się praktykowały po wsiach szlacheckich i zyskały prawo obywatelstwa, bo nierzadko w dokumentach urzędowych napotykać je można. Każda znów rodzina przez ustną tradycję zachowując dawny tytuł jednego z przodków, przyśwajała go sobie; szczególnie ten rodzaj pychy trzymał się niewiast, które się chętniej tytułowały i nieraz mogłeś posłyszeć podobną między niemi rozmowę przy spotkaniu:

— A zkąd to wojewodzina wraca?

— Wypędzałam krowę na paszę; a kasztelanowa zkąd?

— Bieliłam Szmulowi karczmę.

---

## II.

Z tego to butnego, bezmyślnego motłochu, wyróżniał się jako splendor gasnącego rodu Imépan Michał Glinka, z przydomku Janczewski, porucznik petyhorski, a niegdy konfederat Barski. Już to dla osobistych zalet, już to dla majątku, gdyż wpośród tej hołoty był krezusem, siedząc na stu chłopach, do tego miał dworek na podmurowaniu o kilku izbach z zielonemi okiennicami, aż z dwoma gankami i to o czterech nie o dwu słupach; obszerny dziedziniec ogrodzony porządnym częstokołem i nakoniec bramę kutą o dwu-

wrzeciądzach. To wszystko „według stawu grobla“ równało się w Glińsku królewskiemu zamkowi. To jeszcze grzech nie wielki, ale były i śmiertelne: porucznik bowiem posiadał żółty koczo-bryk o dwóch resorach, a do niego w gościnę zajeżdżali panowie i to *orderowi*, kolasami. Za te przewinienia od spółobywateli wioski otrzymał pogardliwe miano „arystokrat“, co wszakże nie przeszkadzało, iż piastował urząd *seniora*, bez którego wieś szlachecka obyć się nie mogła. Senior godził spory, przeprowadzał działy spadków, a był niejako władzą najwyższą sądową i administracyjną. Poprawiał i karcił zdrożności i nadużycia, a nierzadko *remotis arbitris* na kobiercu, a pomimo pokątnych sarkau, doznawał powszechnego posłuchu i respektu od panów braci. Urząd to nie był elekcyjny, nikt doń nie zapraszał i nie głosował, ale... jak to siła zazwyczaj niemoc za łeb ima, tak się i po tych wioskach szlacheckich działo. Prawda, że z drugiej strony taki senior dopomagał zdrową radą, często braterską opieką i uczynnością w razie przygody i dobrze z nim było pp. braciom, którzy, nie trzymani silną prawicą, Bóg wie jakby daleko zaszli w głupocie.

Poznajmy się bliżej z panem Michałem, który nawłóczywszy się do syta po świecie i nabiwszy co się wlazło, wstępując już w piąty krzyżyk wieku swojego, a zamyślając o należnym sobie

wczasie i wytechnieniu osiadł na szczupłej ojcowiznie i pojął stateczną pannę w małżeństwo. Bóg mu zaś poblogosławił, a trzykrotnie, po trzech bowiem latach szczęśliwego pożycia, małżonka potrzykroć go obdarzyła trzema parami bliźniętek i to płci żeńskiej. Pan Michał jak to zwykle ojciec, a do tego wojak, każdym razem wzdychał do syna, atoli zawsze się pocieszył przysłowiem zastosowanym do jego chrzestnego imienia „bierz Michale coć Bóg daje”

Za trzecim wszakże razem Bóg krom radości zesłał mu ciężki smutek, albowiem z powitaniem trzeciej pary bliźniętek, pożegnał na zawsze towarzyszkę życia i sam z sześciorgiem sierotek pozostał. Rad nie rad i to musiał przyjąć z rezygnacją, bo hartownej duszy był człkiem. A kiedy mu tam kumoszki i przyjaciele odwiecznym trybem doradzali:

— Panie Michale musisz ponowić związki małżeńskie, gdyż nie dasz sobie rady z sześciorgiem drobiazgu.

Pan Michał ruszał tylko ramionami i zawsze z góry odpalantował doradcę:

— A czy to waszeć Pan, Bóg, abyś mi zaręczył, że z czasem nie będę oplakiwał drugiej małżonki, a z nią nie napytam nowych sześciorga sierot? Łatwiej tedy z sześcioma poradzić niż z dwunastoma.

— A gdybyż to jeszcze chłopcy, ale czyli potrafisz córki wychować?

— Bal.. jeżeli nie potrafię po białogłowsku to je wychowam po chłopięcemu, ale zawsze ślubów nie ponowię!--konkludował ostatecznie porucznik. Jakoś Bóg nie opuścił strapionego wdowca, bo kiedy od razu sierotki pozostawały na opiece starej poczciwej piastunki Marty, złożył się dla nich najniespodzianie przyszyły areopag wychowawczy, a to w ten sposób. Porucznik miał siostrę o parę lat starszą od siebie i kiedy jeszcze w *collegium* winnickiem OO. Jezuitów molił się nad alwarem, dziewczeczka protekcyjnymi drogami, dostała się na sławny z zamożności i wspaniały dwór księżny wojewodziny Lubomirskiej. Że Bóg jej dał piękną urodę, a dystynkcji i światowych manierów łatwo nabrała na wspaniałym pańskim dworze, za protekcją państwa o rękę posunął się chorąży mściślawski, chociaż przeszło dwa razy starszy od panny, ale mający czem ozłocić siwiznę, przypadłości reumatyzmu i podagry. Właśnie przed dwudziestoma z okładem laty, kiedy pan porucznik uwijał się z szabelką to pod panem Zarębą, to pod Pułaskim, piękna siostra ślubowała chorążemu i z nim zamieszkała jego liczne dobra mściślawskie. Jako to jest zwykła kolej starych małżonków ulegać ślepo młodym żonom, chorąży nie stanowił wyjątku z pod ogólnego



prawa. Żoneczka przywykła na wielkim dworze do zbytku, roztoczyła go na fortunie mężowskiej, która w końcu nie wytrzymała marnotrawnych pocisków chorążyny.

— Dla skrócenia długiej historii, zawrzemy ją w krótkich słowach: po éwierci wieku szczęśliwego pożycia, chorąży z rozkosznych objęć żony przeszedł na zimne śmierci łono. Fortunę zaś, pozabawioną sprężystych wykrętów męskiej ręki rozszarpali wierzyciele a skutkiem tego, skromni mieszkańcy cichego Glińska, podziwiali złoconą baszardę\*), która ciągniona sześciorgiem chłopskich chabet, wtoczyła się na podwórko porucznika. Za baszardą postępowało kilka jeszcze wozów, a na nich sprzęty i narzędzia nieznanne glińszanom, jako to klawikord, harfa i t. p. Nim to się wszystko wypakowało i przeniosło, dworek cichy był przepelniony, jakby dziś teatr przy pierwszym przedstawieniu.

Był to wjazd tryumfalny chorążyny do brata, porucznika, z którym można powiedzieć, że się nie znała, bo kiedy on wysiadywał szkolną

---

\*) „Baszarda“ był to rodzaj karety zeszlowieczonej, którą zwykle zdobiły na zewnątrz rozmaite figury i sceny mitologiczne z brązu złoconego. Wewnątrz zaś posiadała mnóstwo dogodności, stołów, komód, kufrów, kredensów i t. p. Taką baszardę kosztowną, a dobrze zachowaną, można było oglądać do niedawna w pałacu Tulczyńskim, Potockich.

ławę, a następnie obozował z konfederatami, ona panowała samowładnie na dobrach mężowskich. Może i zamyślali o zbliżeniu się z czasem ale gdzie to Mścislawskie, a gdzie Bracławskie?.. Ruch zaś dawniejszy i komunikacje nie były tem czem są dzisiaj.

Pomimo tego przydłuższego oddalenia, poręcznik, że to obyczajem dawnych, miał wiele serca do własnej krwi, a związki rodzinne wielce sobie cenił, tej siostrze „marnotrawnej“ szeroko roztworzył ramiona braterskie. Przytem rad był iż jego sierotkom przybywała czujność i opieka białogłowska. Pani chorążynie, lubo może niebardzo uśmiechał się skromny dworek szlachecki, po mścislawskich pałacach, ale że tych zbrakło, a braterska strzecha była jedyną ucieczką, więc pomyślała że .. „na bezrybiu i rak ryba.“

Inna opatrność nad sierotami zjawiała się wręcz w przeciwnym trybie. Wsie szlacheckie starały się zazwyczaj mieć u siebie dom Boży, bywał tam zazwyczaj kościółek wedle ich stanku, ubogi, często i słomą kryty, ale zawsze chwała Boża tam się szerzyła. Prawda, że księża zazwyczaj uciekali od podobnych prebend i każdy obsługiwanie tak ubogiej parafji poczytywał za nielaskę lub karę. Tak też się stało, że po śmierci poręcznikowej, dawny proboszcz z przyjemnością przechodził na donioślejszą parafję, o jego zaś chudy wakans starań i zabiegów nie było.

Porucznik zaś miał stryjecznego brata w zakonie dominikańskim, który lat czterdzieści braci zakonnej wysłużył, a z tych dziewięć w godności prowincjała. Reguła zakonna nadawała mu już prawa emeryta t. j. zwalniała go z wielu obostrzeń i dozwalała spełniać obowiązki kapłańskie po za klasztorem. Mógł już z czystym sumieniem przyjąć tę ulgę O. Honorat, tem bardziej, iż na usługach zakonnych zdrowie utracił a maceracje i umartwienia klasztorne już mu były uciążliwe, wszelako czynił sobie z tego pobożną restrykcję, aby reguły do końca nie zwalniać.

— Chętniebym tam poszedł do waszego kościołka i nacieszył się twoją kompanją, miły bracie i wiem że łaskawa starszyzna zakonna nie broniłaby mi tego wytechnienia, którem sobie wysłużył, ale zakonnik to jak żołnierz pod chorągwią, niepowinien jej opuszczać do końca — mawiał O. Honorat odpierając kuszenia i nalegania brata porucznika.

Lecz ten, powziąwszy zamiar osadzenia brata w bliskości, zakrzętnął się około tego gorliwie, jako jeden z głównych fundatorów kościołka, posiadając prawo prezenty na parafję, nie udzielił go innemu duchownemu, a u prowincjała zakonu wyrobił, iż ten O. Honoratowi w imię obedjencji zakonnej, rozkazał parafję przyjąć. Nie gniewał się O. Honorat za ten gwałt pro-

wincjalski, bo w rzeczy samej pragnął użyć dobrze wysłużonego wczasu.

Zdobywszy tę komisję edukacyjną dla córek, porucznik w rozumieniu swoim podzielił wychowanie bliźniątek na trzy kategorie: każda para do lat siedmiu chowała się pod nieograniczonym rządem ciotki chorążyny, w sukniach niewieścich; po dojściu zaś tego wieku przeodziała w strój chłopięcy, przeobodziła pod władzę ojca i księdza-stryja: pierwszy kształcił w męskich ćwiczeniach ciała, stosownych do sił i wieku, w początkowym eksercyrunku wojennym, strzelania z małych ruszniczek, oswajał powoli z łowami, słowem poczynął sobie jak z chłopcami dziać się zwykło.

O. Honorat, iż długi czas między innymi funkcjami, pełnił i lektorską w zakonie, a kilka pokoleń mszalnych zakonników wydoskonalił, wierzył w łacinę jako klucz wszelakiej scyencji i dziewczęta od razu do niej zaprzął. Oburzała się i gorszyła ciotka chorążyna na to i nieraz księdzu bratu czyniła stosowne remonstracje, ale on niewzruszony w postanowieniu, odpierał:

— Czytaj mościa siostró historję i z niej się dowiesz ile cnotliwych było rzymianek—a jakim że one językiem mówiły?

Nie mogąc poradzić z księdzem uderzała chorążyna na porucznika:

— Co to z waści bracie za ojciec, że własnym dzieciom los zagradzasz...

— A to w jaki sposób?—przerwał sarkastycznie porucznik.

— A juźci, czynisz z córek jakieś dziwolągi, bo azaliż to białogłowska rzecz szastać się z ruszniczką w kniei lub za chartami wierchowogonić i to wszystko Boże odpuść, w chłopięcych sukniach? Do tego gadają po łacinie jak juryści lub doktorowie. Tym trybem pewno sobie mężów nie znajdują.

— Jeżeli nie znajdują pani siostro, to się obejdą.

— A na rany Boskie, co też brat wypowiadasz takie bluźnierstwa, do tego ojcowskiemu uesty, a któraż to kobieta obejdzie się bez męża?

— To nie ja bluźnię a siostrunia, boć przecież wszystko w ręku Wszchemocnego, a zresztą i przysłowie mówi iż: „śmierć i żona od Boga przeznaczona“ to czy z konia czy z kniei tak ją weźmie predestynowany, jak i ciebie z pańskich salonów.

— Zapewne przy tych manierach kozackich jakich nabrały przy łowach—przerwała z przekąsem chorążyna.

— Co mi aścka prawisz o manierach, a pięknies je wymanierowała, kiedym wziął pod swoją opiekę pierwszą parę z pod twej babskiej musztry, wyglądała jak trzy dni przed śmiercią

a teraz spojrzysz, dziewczęta jak łanie, zdrowe, wesole, rumiane, a to wszystko łowy i świeże powietrze. Obaczysz że nie było jeszcze takich dorodnych Glinczanek jak moje dziewczki; albowiem w naszym rodzie niewiasty drobne i nikle jak uczciwszy pani siostra...

— Ale za to skromne, pobożne—przerwała chorążyna złośliwie.

— A co tego to już nie gadaj, a spytaj księdza brata, czy poszły kiedy na łowy nie odmówiwszy z nim jutrzni i to całej, dominikańskiej.

Tak zwykle kończyły się dysputy ku umartwieniu chorążyny, a tem większemu, iż dziewczątka polubiły stan ten swój przejściowy, przekładały łowy nad ciągle krygi chorążyny i naukę tańca przeplatana nieustannem gderaniem i obserwacją pięknych manierów. Wolały dziewczuchy wylatać się w lesie na świeżem powietrzu lub słuchać księdza stryja, który im i wyśmiać się i pofiglować po nauce dozwolił, a jeszcze i sam dopomógł, a zawsze miał jakiś przysmaczek w zapasie, jako nagrodę pilności w naukach. Pomimo to nie ostały się i chorążynie, która jeżeli chwyciła chwile wolne od łowów i łaciny wprzęgała bliźniątka do muzyki lub tańca jako biegła w tych kunsztach. Wyczekiwała tylko staruszka z upragnieniem, a każda para dziewczątek z trwogą lat 15 wieku, któryznaczony był przez ojca, jako termin nowego

przejęcia i ostatecznego w suknie niewieście i co zatem idzie pod władzę ciotki chorążyny. Doczekała nakoniec tej upragnionej chwili kiedy wiek trzech par bliźniątek przedstawiał 17, 16 i 15 lat, kiedy znów stale przywdziały strój białogłowski, a ciotka ich rozwinięte kształty uwięzła w brykle i rogówki. Zapędzała je gorliwie do tańca, muzyki i krygów. Zapewne że pojętne dziewczątka wymaganiom ciotki odpowiedziały, ale że natura ciągnie wilka do lasu, one też były temi wilezkami, nietylko literalnie do lasa, ale i do łaciny księdza stryja, do której stary mnich zdołał w nich obudzić zamięłowanie: a ile razy mogły się wyrwać do niego, chętnie ciotkę opuszczały.

Niebezpieczniejszym jeszcze od O. Honorata antagonistą, co do dziewcząt, chorążyny był poręcznik z łowami. Sam zagorzały myśliwy nie mógł się obyć bez tych dzielnych kompanów, których sam przysposobił. Pierwsza ponowa lub dobre pole niweczyły wszelkie zabiegi chorążyny i dziewczęta przebrane po chłopięcemu, bo tych i owych sukien nosić nie przestawały, towarzyszyły ojcu do kniei, lub wierzebowo z chartami.

Skoro wszystkie trzy pary bliźniątek dojrzały już na panny, stały się zachwytem okolicy Starzy zjeżdżali się do poręcznika pomówić z dziewczętami doskonałą łaciną; myśliwi zapo-

lować, młodzież poskakać w tańcu, w którym ich ciotka chorążyna wydoskonaliła, nareszcie posłuchać pięknego śpiewu i muzyki, bo i ten kunszt sobie przyswoiły. Nieznajomi napływali we święta do ubogiego glińskiego kościółka, aby się rokzoszować pobożnym śpiewem bliźniątek, które gdy z nauki księdza stryja zaintonowały sześcioma dyszkantami (coby dziś „sopranem” nazwano) „Salve Regina” lub godzinki o Niepokalanem poczęciu albo i inne hymny kościelne, pobożni dość się nasłuchać nie mogli. Ksiądz stryj rósł w dumę, że jego dotąd kościółek ze szczupłą garstką parafian, teraz omal nie rozsadały tłumy pobożnych, a raczej (Boże odpuść) ciekawych posłyszeć śliczny i porywający duszę śpiew piękny bliźniątek. Za pobożnymi szły wota i ofiary, tak iż dzięki dziewczętom kościół pokrył się dachówką i przybył mu mały organik. Sąsiedni zaś proboszczowie sarkali na to, iż czego nie mogły dokazać ich cudowne obrazy, sprawiły to sześć grzesznie śmiertelnych, w postaci bliźniątek.

---

### III.

Najbliższym sąsiadem porucznika był pan kasztelan Borejko, powiedziałbym nawet „przyjacielem” gdyby nie to, iż lubo co do prozapii rodu Glinkowie nie nie ustępowali Borejkom,



jednak kasztelan, jako dziedzic obszernego państwa Pikowskiego, był magnat całą gębą. Porucznik zaś chociaż mógł być po przodkach dziedzicem całego powiatu, ale los go zdegradował na chudego pachółka. Mimo zaś tej tak głoszonej różności szlacheckiej, tam się ona tylko przyjmowała, gdzie magnat spuścił coś ze swej pychy, a szlachcic znał które „wysokie progi na jego nogi.“

Taki też stosunek zachodził, a nie powiem żeby najgorszy, pomiędzy porucznikiem a kasztelanem, którego aż dwa węzły wiązały do porucznika, raz że był ojcem chrzestnym wszystkich trzech par bliźniątek i jako zawołany myśliwy, ich wielki admirator. Obdarzył też dziewczęta doskonałemi ruszniczkami i innemi rynsztunkami myśliwskimi, a nawet sześć dobrych mierzynków ze swego stada pod wierzeh im kazał przysposobić.

— Już to winienesz waszmość sto świec do Opatrzności Boskiej—powiadał nie raz porucznikowi patrząc na bliźniętka—iż cię obdarzyła takimi setnemi dziewczeczkami, jak moje chrzestniaczki, bo do tańca i różańca, a nie tak jak moje cheralaki, *casus pascudus*\*) do niczego; gdy czasem

---

\*) Dawni polacy miewali swoje szczególne ciągle powtarzane pogadanki, po których dotąd ich rozróżniają i któż to nie wie o kim rzecz jeżeli mu powiedzą „*rewera, rybeńko, panie kochanku*” i t. p. Tak

z okna strzelę do jastrzębia, to zaraz posłyszysz „achi! ocha!“ spazmy w całym domu. Setnie żałuję że mój syn znacznie przerósł córki waszmości i już się ożenił, kiedy je kołysano, a miałbyś mię swatem.

— Mowa się mówi a chleb się jada, mości Kasztelanie i gdyby kasztelanie był dotąd nie żonatym to poszukałby sobie magnatki, jak mu się patrzy.

Trwały sobie te stosunki, a może w istocie dla tego najlepsze, że porucznik sam będąc w zażyłości z kasztelanem, nie narzucał się z córkami, chociaż Borejko tego się domagał; lecz że kasztelanowa trzymała się wyniośle względem drobnej szlachty, więc porucznik córek do chrzestnego ojca nie zawoził.

Pewnego jednak roku, kiedy wdzięki trzech par bliźniętek były w pełnym rozkwicie, wiek zaś ich przedstawiał się w cyfrach lat 19, 18, 17, kasztelan właśnie wydawał ostatnią, ulubioną córkę, za podkomorzycę kijowskiego, także magnata. Pragnął uczcić gody wielkimi łowami i kilkodniowym festynem z przeróżnemi wymysłami i siurpryzami, na jakie pańska imaginacja i szkatuła zdobyć się tylko mogły. Zawi-

---

samo i kasztelan Borejko, chociaż w mniejszem kółku, od przysłowia był przezywany „*casus pascudeus*.“

nał się może po raz setny i gorliwie, aby sprrowadzić porucznika z córkami. Może mu nietylko zależało na ich kompanii, ale zechciał się pochwalić zręcznością łowiecką chrzestniaczek i tę do niespodzianek festynu zaliczyć.

— Wybaczcie mości Kasztelanie, ale moje prostaczki nie do waszych salonów—opierał się tentacjom i submisjom Borejki porucznik.

— Odmowę tę poczytuję jako deszpekt i *casus pascudeus* i jeżeli się nie dasz waść zmięczyć szczerą supliką... to kwita z przyjaźni!..

Lecz że porucznik nie dał się zmięczyć, pierwszy to raz prawie od półwieka zażyłości, rozstali się na chłodno.

Wszakże nazajutrz zaszło niespodziane zdarzenie, stanowiące epokę w kronikach zaścianka: sama pani kasztelanowa, a swoim zwyczajem dworno i szumnie, razem z córką stawiała się z submisją u pani chorążyny, z inwitacją dla niej i bliźniątek na gody weselne. Kasztelanówna zaś sama młoda a dość żwawa na pańskie wychowanie, łatwo do rówieśniczek przylgnęła i nie mogła się dość nacieszyć śliczniutkami bliźniątkami.

Po odbyciu tych szumnych odwiedzin, chorążynę jakby kto na sto koni wsadził i natychmiast z pod lawendy i macierzanki, używanych wtedy do ochrony szat od niszczenia robactwa, wydobyła zakłète w kufrach robrony, koronki,

szale, aksamity i t. p. i wszystko zawczasu przewietrzała na płocie, wartując osobiście aby psy nie poszarpały.

— A to co za gala pani sestro?—spytał uśmiechnięty porucznik, który wracając z odległego pola od robotników, nieświadom był przygody wielkich odwiedzin.

— To pan brat nic nie wiesz, była tu kasztelanowa *osobiście*: (na tym wyrazie nacisk położyła) z córką, inwitować nas na festyn weselny.

— Co za *nas*? chyba panią siostrę?—przerwał porucznik znacząco.

— Mówię „nas” bo mnie i dziewczęta.

— Dziewczęta nie pojada, a co do was jak się pedoba—zakonkludował stanowczo porucznik.

— Więc pan jesteś tyran ale nie ojciec, kiedy własnym dzieciom los zagradzasz, ja w takim domu ani chwili dłużej nie bawię—rozwydrzyła się chorążyna, a dostrzegając swej słuzebnej, zawołała:

— Magda, idź najmij mi na wsi konie pod baszardę i parę wozów pod rzeczy, dziś jeszcze wyjeżdżamy.

Najniespodzianie na tę scenę nadszedł stary dominikanin, a widząc tę alterację, która się między rodzeństwem dotąd nie zdarzała:

— Bóg z wami—przemówił—od lat kilkunastu pierwszy raz widzę was takich zaperzonych a przecie to *concordia res parvae crescunt*, kłótnia to obraza Boża i o cóżto znów chodzi?

— Sam Bóg zsyła nam księdza brata—rozpoczął porucznik—boś to jest i uczony i praktyk w życiu a owóż o co nam chodzi.

Tu porucznik opowiedziawszy o odwiedzinach i inwitacji tak konkludował:

— Otóż osądź sam księżę bracie, czyli pomimo owych zabiegów i rzekomej pańskiej submisji przystoi, abym dziewczki tam powióził?

— Dla czego nie?—spytał krótko dominikanin.

— Ano już dla tego samego, że za wysokie progi na nasze nogi.

— A to przedłuż sobie nogi panie bracie Boć przecie kasztelaństwo nie dmuchnęli ci w karszę przez swoją atencję. Trzebaż nareszcie i dziewczkom pokazać świat, który się nie kończy na kniei. A co do progów, to takie każdy posiada, jakie Bóg dał i na jakie go stać, a o tej ich wysokości jest bezsensowna gadka, przez którą sama szlachta wbija w dumę panów.

Rozumie się stanęło na tem jak mądry ksiądz brat zawyrokował. Jeszcze tylko jedna kwestja rozbijała się między bratem a siostrą, która opierała się przytem aby dziewczęta ukazały się na festynie tylko w strojach białogłowskich i po chłopięcemu w łowach udziału nie przyjęły.

— Czyś zwarzjowała pani siostro?—zawołał sierzdście porucznik kręcąc palcem po czole—ja miałbym pozbawiać moje dziewczki podobnych łowów?.. Prędjiej zgodzę się na to, żeby nie wy-

stępowały jako podwiki. Toż to przecie słynna ua całe województwo knieja Borejki, a terazniejsza tak zwana „kasztelanki Anny“... od lat dwudziestu nieplądrowana, strzegą jej całe zastępy leśników, jak oka w głowie, wszystkie zaś padliny z całego majątku każe tam kasztelan zwozić, żeby zwierz sobie rozkoszował. Zwidziałem ją niedawno, rozumie się bez rusznicy, bo samego hetmana zbrojnoby tam nie puszczo-no i powiadam aśćece na własne oczy widziałem takie ogromne odyńce, jak żóławskie byki!.. A co losi i jeleni... tego nie przeliczyć!.. I ja miałbym dzieci takiej uciechy pozbawiać? Z asablami to lada gdzie można się spotkać. Ale co takich łowów przy najdłuższem życiu można nie widzieć.

I porucznik postawił na swoim. Ponieważ zostawało niespełna parę niedziel do tych festynów, a więc ówczesnym zwyczajem sprowadzono z pobliskiego miasteczka żydów krawców męskich i żeńskich, ci dniami i nocami pracowali aby bliźniątka po chłopięcemu i białogłowsku jak najprzystojniej ogarnąć. Szczególniejszych starań i zabiegów przykładała chorążyna, aby strojem płci właściwym zabłysnąć. Dziewczątka zaś i bały się i cieszyły na myśl pierwszego z wielkim światem zetknięcia.

## IV.

Bez zaprzeczenia Borejko był ostatnim wielkim myśliwym w dawnej Polsce. Jego myślistwo nie miało wielu sobie równych, spółzawodniczył z zawołanymi łowcami puszczy litewskich: Radziwiłłem, Rejtanem i wielu innymi. Jeżeli do jakich łowów poruszył cały zastęp swoich strzelców i myśliwych, który co do ludzi znacznie setkę przechodził, a co do rozmaitych psów, zwierząt i ptaków łowieckich w przeróżnej jakości pierwszych na świecie gatunków, to już nikt czemś podobnem pochwalić się nie mógł. Dla określenia jego amatorstwa dość powiedzieć, że sam osobiście odbył podróż do Szwecji dla zdobycia pewnego miotu ogarów, który z czasem pod nazwą „borejkowskiego“ zasłynął.

A zresztą u kasztelana do tej pasji łowieckiej przyłgnęło wiele ambicji i nieco dziwactwa, tak właściwego starym polakom. Jak niegdyś za dobrych czasów, ojcowie przy narodzinach córek zamurowywali wino na dzień wesela, tak on dla każdej ze swoich zachowywał pewną knieję w ten sposób jak to się wyżej opisało, iż nie tylko nie płoszył i nie tępił zwierza, ale pielęgnował i karmit, aby w dzień solenny wielkimi się łowami popisać. Lasy zaś pikowskie, uczciwszy dzisiejsze ich wytępienie, były to niegdyś głuche, niezmierzone puszcze. Największą

z nich pozostawiając, jak najlepszy kąsek na wety, dla ulubionej ostatniej córki, umyślił za-  
błysnąć i świat zadziwić niesłychanemi dotąd  
łowami.

Gości więc sprosił co niemiara i sławnych z  
Litwy spółzawodników myśliwych. Sam nie  
szczędził sumptu i własnego trudu; wszakże  
znał to do siebie iż nad porucznika Glinkę nikt  
lepiej wielkimi łowami nie zarządzi, jemu też  
główną komendę powierzył. Znał również że  
nikt lepiej ojcu nie dopomoże, jak wyćwiczone  
w tej sztuce bliźniątka, zatem pozyskując je na  
łowcy odnosił korzyść podwójną, raz pozyskiwał  
dzielne łowczyńie, a potem i ten raritas mógł  
gościom okazać: niewiasty biegłe w sztuce my-  
śliwskiej.

Glinka zaś każdą sprawę myśliwską gorąco  
biorąc do serca, zajął się i tą gorliwie ażeby  
zaufania nie zdradzić. Na parę dni przed po-  
łowaniem, przeniósł się do dworku głównego le-  
śnika pod samą knieją, razem z córkami, które  
jako dokładnie świadome łowieckiego procederu  
wielce mu były pomocne.

Że pomimo dzisiejszych przechwałek, wszystko  
u nas drobnieje i nizezemnieje tak też ma się i z lo-  
wami, a dzisiejszym myśliwcom zdaje się, iż dość  
by zarzucić flintę na plecy, puścić psy do lasu i już  
wszystko skończone, a naiwny jakiś zajączek sam  
się nawinie na strzał. Lecz jako żywo nie  
tak bywało z dawniejszemi łowami, praca to



bowiem, a i znajomość rzeczy musiała być nie ladajaka, zbadać całą pozycję miejsca, wyszukać głównejsze barłogi i legowiska, wytropić zwierza w ten sposób aby go nie wypłoszyć. Następnie osaczyć knieję, pokierować naganką, dowcipnie obrzucić sieciami cały ostęp, aby zetknąwszy kulce z kulcem, nie pozostawić zwierza za obrębem obławy, cała w tem mądrość się zawierała.

Pamiętajcie na to, że dawne łowy nie były jak dzisiejsze, płochą zabawką, walką z lęklwym zajączkim lub niewinną sarenką. Jeszcze to w całej sile trwała dawna przypowieść: „idziesz na niedźwiedzia gotuj nosze, a na dzika mary“ pobożniejsi nawet przed wielkimi łowami przystępowali do sakramentów gotując się jak na wojnę.

Już w przeddzień łowów przygotowawczy tabor myśliwski wedle przyjętego porządku nadciągnął na miejsce; wszystko się tam znajdowało okrom psów, które aby nie płoszyć zwierzyny przyprowadzano w sam dzień polowania Tymczasem zwieziono siecie na kilkunastu wozach i kilka tysięcy chłopów stanęło do obławy i naganki, boć to i knieja była, niepospolita kilkomilowa.

Wiedzieć należy, iż zazwyczaj łowy, na których tak olbrzymią siłą działano, nie mogły się przeciągać dłużej nad dzień jeden, lub kilka go-



dzin, bo raz wypłoszona zwierzyna już po przerwie łowów nie wróciłaby na dawne legowiska. Dzisiejsze łowy miały się rozpocząć równo z brza-  
skiem, o drugim pianiu koguta, a zakończyć z południa, tak aby niewiastom starczyło dnia do przebrania na obrzęd ślubny, który dla większej prozopopei, miał się odbyć po zachodzie słońca przy iluminacji.

Opuściwszy cały proceder łowów, zbyt dziś trudny do opisania, bo dla naszego pokolenia będący „wilkiem żelaznym“, wrócimy do bliż-  
niątek, których dotąd z powierzchowności nie daliśmy poznać czytelnikowi, wyznaję iż ta im-  
preza może nie łatwiejsza, ale z powinności i porządku rzeczy pokusić się o nią potrzeba. Nim co do czego przyjdzie, nawija się mi na myśl, iż białogłowy w dzisiejszych nawet czasach rozpowszechnienia tak zwanej *emancypacji* lu-  
biące się wdzierać w nasze męskie prerogaty-  
wy (nie zawsze fortunate), stroju nam nigdy nie odejmą, pozostając przy swoich jupkach, robro-  
nach, mantylach, turniurach i t. p. Gdyż Bogiem a prawdą powiedziawszy, nieznam nic niewdzięcz-  
niejszego pod słońcem nad białogłową w męzkich sukniach; nawet o ile mi się widzieć zdarzało słyn-  
ne aktorki w męzkich rolach, te wcale nieestetycz-  
nie wyglądały. Zatem mam zaszczyt zapewnić cię niniejszem miły czytelniku, iż przy najświet-  
niejszym powodzeniu tak zwanego równo uprawnie-

nia kobiet, możesz utracić wszystkie prerogatywy płci brzydkiej, atoli bądź o to spokojny, iż frak, kamizelka, szelki i t. p. odjętymi od ciebie nie będą.

Ale wróćmy do naszych łowczyń, które co do stroju męzkiego stanowiły wyjątek z pod ogólnego prawa; zapewne z tej racji że od dzieciństwa zrosły się z tym strojem, którego dotąd przez większą połowę życia używały, a można powiedzieć iż dotąd chowały się więcej po chłopięcemu niż po białogłowski. Całe powabnie tedy wyglądały w zielonych kurteczkach ze złoceniemi guzami, w bucikach palonych, uwydatniających piękny kształt jakby utoczonych nóżek; a magierki z młodego baranka ze srebrnemi kitkami stoiły te śliczne, świeże główki zdobniej, nadewszystkie kwefy i fryzury. Każda z nich w rękę trzymała gardłaczyk—boć to polowanie na grubego zwierza, na zapas zaś miała przewieszoną przez ramię ruszniczkę szwedzką, co zapewniało dwa strzały, gdyż jeszcze naówczas dwururne strzelby mało były rozpowszechnione; na drugiem ramieniu wisała zgrabna torba bor-sucza, obok niej rożek myśliwski. Na widok każdej z nich powiedziałybyś niezawodnie—„zwinny młokos pewno wyrośnie na dzielnego męża.“

Rozpoczęły się słynne na cały świat łowy— a jakie łowy? opisać dziś niepodobna, bo dotąd żyje w tradycji gadka „że gdy Borejko polował

niebo i ziemia huczały“ przychodzi mi tylko zanotować fakt służący za wątek do naszego opowiadania. Przezorny wódz łowów, porucznik wyznaczywszy wszystkim stosowne stanowiska w kniei, sobie i córkom szczególnie starszym Urszulce i Hance, bardziej doświadczonym łowczyniom, pozostawiwszy główny dozór nad całością, uwijał się z niemi po lesie, a dla lepszego baczenia każde z nich szło oddzielnie samopas.

Urszulka obiegając znaczną część lasu a kierując naganką i dojeżdżaczami, zatrzymała się w jednej chwili na pewnym punkcie, gdzie zwrócił jej uwagę niesłychany szum, szelest, łamanie gałęzi i niepospolity impet, widocznie pędził odyniec; że punkt ten był wcale nieobsadzony uznała za słusne tu pozostać. Wprawdzie przyjrawszy się pilniej, dojrzała iż opodal na przesmyku stało jakieś dziwne stworzenie z białemi kudłami. Od razu nie mogła zmiarkować co to za zwierzyzna? lecz wpatrzywszy się pilniej poznała w tem *czemś* kształt ludzki, gdyż owo *coś* miało nogi i ręce, a trzymało strzelbę gotową do strzału. Był to wprawdzie jeden z gości kasztelana z niemiecka przyodziany, ale że w Glińsku pomiędzy bracią szlachtą dziewczyna nigdy takiego stroju nie widziała, więc ukrywszy się za krzakiem jęła się ciekawie przypatrywać. Wszakże przytem nateżyła słuch czujny

na on łoskot niezwykle, który się szybko zbliżał i coraz wyraźniejszym stawał.

Nagle rozłamało się tuż obok kilka drzew i z pędem niesłychanym (któryby dzisiejszy człowiek do impetu lokomotywy przyrównał), ziejąc iskry z rozjuszonych nozdrzy, rycząc i parszcząc, cały skrwawiony, pędził odyniec, niszcząc kłami i siłą cielską, wszelkie napotymane po drodze przeszkody. Wyglądał jak duża bryła smoły, miał więc na sobie pancerz nieprzebity, o który już siła się strzałów odbiła, w pędzie skierował się prosto na owo „kudłate stworzenie,” które nie mierząc prawie strzeliło. Zwierz pędził prosto na niebacznego strzelca, który widząc grożące mu niebezpieczeństwo, rzuciwszy wystrzeloną rusznicę, co tchu zmykał. Atoli rozjuszony zwierz prześcignął go szybkością, już go doganiał i jeden króciutki moment, śmierć by mu nieochybną zadał, porwał na szmaty, gdy mężna łowczyni z szybkością, której żadna oszczędność słów odmalować nie zdoła, zabiegając zwierzowi drogę, celnym strzałem wsadziła mu cały nabój gardłacza w oko, jedyną część tego ogromnego opancerzonego cielska, przez które śmierć miała przystęp. Strzał śmiały celnym być musiał, gdyż w przeciwnym razie groził zuchwałemu strzelcowi śmiertelnym odwetem. Bestja z rykiem piekielnym zachwiała się już bliska upadku, atoli dobywając rozpaczliwych sił ostat-

ka, z niepomiarłą wściekłością rzuciła się ku swej zabójczyni, z widoczną determinacją, iż darmo życia nie odda.

Urszulka nie tracąc odwagi na to jawne niebezpieczeństwo, z rącością wiewiórki skoczyła na wierzchołek wysokiego drzewa i zdjąwszy flintę z ramienia celnym strzałem ugodziła zwierza w drugie oko; potwór wydawszy straszny ryk ostatni, runął nieżywy, aż ziemia jękała. Dziewczyna dokonawszy tego czynu łowieckiego, któremu w prostocie ducha nie przypisywała nadzwyczajnego heroizmu, zsunawszy się z drzewa, przystąpiła do nieżywego wroga przypatrując mu się litośnie, jakby się chciała usprawiedliwić, iż tylko w obronie własnej całości śmierć mu zadała.

A w tej chwili nie pamiętała o „kudłatem stworzeniu“, które od jawnej śmierci wybawiła. Lecz pomimo to oglądnąwszy się dojrzała zdziwiona, że ów ktoś, podobny teraz do człowieka z ogoloną głową, rozplątywał z krzaku siwe one kudły, które w ucieczce na gałęzi się zawiesiły. Zaśmiała się w duchu piękna łowczyni, przypominając sobie z historii biblijnej przygodę Absalona, o której ksiądz stryj opowiadał i już owo stworzenie „Absalodem“ w myśli przezwiała. Wszakże odwróciła się, nie śmiejąc patrzeć zuchwale w oczy temu poszkodowanemu na włosach, który tymczasem przytwierdziwszy jako tako perukę na głowie, zbliżył się do zabitego

dzika, a tem samem i do Urszulki, która już chciała się oddalić, gdy w tem Absalon przemówił protekcyjnalnie, a nie bez pewnej bezczelności:

— A co chłopaku!.. pokonaliśmy przecie tę ogromną bestję... Prawda, że mi trochę dopomogłeś, ale mój strzał pierwszy dobrze go napoczął, chociaż i bez ciebie poradziłbym do końca, jednak zawsze przyznaję, żeś się gracko spisał.

Urszulka pokraśniewszy milezała, nie znajdując odpowiedzi na tak zuchwałą impozycję.

— Powiedzże mi kochanku—ciągnął Absalon przypatrując się Urszulce—kto jesteś, taki młody, a piękny i odważny?

— Ja?.. myśliwy tutejszy... ale wybacz je-gomość... muszę wracać na stanowisko—jąkając wypowiedziała Urszulka i już chciała odbiedz, gdy ją Absalon zatrzymał.

— Poczekaj no chłopaczku, czego ci tak pilno, razem walczyliśmy, nacieszmyż się naszymi łupami—wyrzekł chętnie potrącając nogą ścierwo odyńca.—Ależ to ogromna bestja jak rosły koń, powiedz no chłopaku, czy nie będzie to ów największy odyniec, za zabicie którego wyznaczył kasztelan nagrodę?

Urszulka skonfundowana milezała.

— A ty, jak myślisz chłopaku?—nagił Absalon.

— Przypuszczam, że tak jest, bo w istocie

trudno spotkać większego dzika... ale pozwól jegomość, że odejdę na stanowisko.

Znów Urszulka chciała odchodzić, Absalon przytrzymał ją za rękę.

— Poczekaj chłopaku, czego ci tak pilno, jeszcze zdążysz... Owóż.. co ci chciałem powiedzieć, że gdybyś sam położył tę bestję otrzymałbyś dziesięć czerwonych złotych przyobiecanej nagrody, a ja ci dam trzydzieści, bylebyś się nie przyznawał do udziału w tem zwycięstwie... Zawsze lepsze trzydzieści niż dziesięć, rozumiesz?

Urszulka nieśmiała, skonfundowana, trzymana za rękę przez Absalona, nie wiedząc co począć — milczała. On zaś przyjmując to milczenie za odmowę propozycji, tentował dalej:

— Dam ci chłopaczku pięćdziesiąt dukatów, po łowach przyjdiesz do mojej stacji, a natychmiast wyliczę ci pieniądze, znasz mię zapewne jak i cała służba wuja kasztelana... masz czterdzieści dukatów w zysku, a co do puhara to tego byś nie dostał, bo ten wyznaczony dla panów, ale nie dla prostych myśliwych... czy zgoda mój piękny chłopaczku?—zakończył z przymleniem głaszcząc Urszulkę po zapłonionej twarzy, a gdy mu się chciała wyrwać, przytrzymał ją silniej dodał:

— Nie puszcę cię piękny chłopaku, aż cię uściskam na podziękowanie za okazaną pomoc i póki się nie zgodzisz na moją propozycję.



To mówiąc przyciągnął piękną główkę Urszulki, składając pocałunki na obu zarumienionych policzkach.

— Zgoda, zgoda! — zawołała dziewczyna płonąca od wstydu i całym wysiłkiem wyrwawszy się od Absalona, w gąszczy się lasu ukryła.

Wkrótce potem nadbiegli myśliwi podążający na one trzy strzały, a widząc Absalona nad powalonym dzikiem:

— Winszujemy jegomości! — zawołali chórem

— Tóż to jest ów tak zwany „byk żuławski” za którego wyznaczona nagroda!.. Wiwat niech żyje król łowów!

Któryś tam zatrąbił „na upad” natychmiast się ściagnął cały zastęp myśliwych. Absalon całej kupie wyplatał duby smalone o zwycięstwie nad dzikiem: jako dał jeden strzał z ziemi a dwa inne wskoczywszy na drzewo i. t. d. Myśliwi kiwając z niedowierzaniem głowami słuchali opowiadania tej kuso odzianej figurki, w przekręconej perucc. Lecz nikt jawnie zaprzeczyć nie śmiał, w obec widocznego faktu, bo, prócz Absalona, nikogo nie znaleźli przy zabitym dziku. A któżby się zresztą na rzecz innego zaparł zwycięstwa, przy którym była nagroda?—Że się już łowy kończyły, bowiem prócz ogromnego odyńca, kilkanaście wozów zabitej zwierzyny naładowano i już „pojezdne” otrąbiono, wszystko się ruszyło, myśliwi zaś Absalona w potarganej

peruce, jako tryumfatora ponieśli na barkach do zamku, przy wiwatach i okrzykach, a tem głośniejszych, iż ów tryumfator był siostrzeńcem pana zamku.

---

## V.

Zamek w Pikowie był niegdyś rezydencją Lubomirskich, od nich bowiem nabył tę majątność Borejko. Była to w rzeczy siedziba pańsko-rycerska, jak kiedyś przystało w onym kraju, położonym na szlaku tatarskim.

Sam zamek obszerny i warowny, mogący ostać się nieprzyjacielowi i siła załogi wewnątrz pomieścić, nie posiadał w sobie owego „cukierkowego” wyglądu, jaki nadawano pańskim pałacom w ostatnich latach zeszłego wieku. Nowy też dziedzic, zachowując chociażby dla pamiątki surowy styl dawnej budowy, wyporządził tylko wewnątrz zamku, stosując do wymagań gościnności często u Borejki praktykowanej i obecnie chociaż setka przeszło panów na zamku gościła, jednak każdy znalazł kąć wygodny i miał się gdzie przytulić.

Toż i chorążyna z pełnemi kuframi strojów własnych i bliźniątek zajęła parę izb wygodnych w jednym skrzydle zamku. Chociaż większa część pań, nie biorących czynnego udziału w łowach jako spektatorki towarzyszyły im w powozach, a

mlodsze konno—bo i ta się już moda zagęszczała—jednak chorążyna stoczywszy przegraną bitwę z bratem o strój chłopięcy bliźniąt i udział ich w łowach, nie chcąc patrzeć na to zgorzenie, wyczekiwała powrotu dziewcząt, aby wytwornością stroju białogłowskiego zakasować ubiór myśliwski, na który się ojciec wysadzał. Że dziewczęta jak nam wiadomo, wprost z domu z ojcem do kniei się udały, więc chorążyna postawiła służebną Magdę w bramie na czatach, aby dziewczętom jej kwatere wskazała.

Pierwsza nadbiegła Urszulka pomieszana, skonfundowana pocałunkiem Absalona, który lubo wymierzony nie do jej płci własnej, ale tylko przybranej, jednak palił jej twarz i wstydu nabawiał.

— Spotkam niezawodnie tego *Absalona* na zamku, gdyż mianował się siostrzeńcem kasztelana, pozna mnie!.. Co za konfuzja, jakże mu spojrzę w oczy?—myślała nieboga, pośpieszając na zamek manowcami, aby nie być poznaną.

Bardziej ją jeszcze przeraził ten wypadek, że w drodze napędził ją orszak niosący w tryumfie Absalona, obok ogromnego odyńca złożonego na wozie. Ukryła się, aby nie być widzianą i jeszcze raz poprzysięgła sobie zachowanie najgłębszej tajemnicy z tej łowieckiej przygody. Wyminąwszy szczęśliwie orszak tryumfalny, Urszulka wpadła do ciotki pomieszana, zmieniona, ledwie żywa, tak iż się chorążyna przelekła na jej widok.

— Co ci to jest moje dziecko?—spytała troskliwie.

Dziewczyna nie nazwyczajona do kłamstwa, na razie nie umiała odpowiedzieć, sama chorążyna przysłała jej w pomoc narzekaniem na brata:

— Azali jest w tem sens, włóczyć dziewczęta po kniei całe dwie doby!.. Wasz ojciec nietylko zepsuje wam reputację ale i zdrowie. Patrz dziewczyno, do czegoś ty podobna!?!—zakończyła stawiając ją przed zwierciadłem.

— Ja też cioteczko—podehyciła Urszulka—tak jestem zmęczona, że się przebierać nie będę i na pokoje nie pójdę, o zmroku zaś z Magdą przebiegnę do domu.

— Ol.. co z tego nie nie będzie mościa panno, bo chociaż wszystkie macie stroje co się zowie piękne, ale twój mi się powiódł najlepiej i od swego nie odstąpię.. Chcę ażeby pan porucznik przekonał się po czyjej stronie awantaż.

Jakoż ciotka postawiła na swoim i wszystkie sześć dziewcząt wprowadziła na pokoje, a nie omyliła się wcale licząc na ich powodzenie; jeżeli bowiem do twarzy było bliźniątkom w myśliwskich strojach, to niemniej szmer podziwu i admiracji wniosły ze sobą na pokoje kasztelana. Zręczność i giętkość kształtów nabyte przez ustawiczny ruch i ćwiczenia łowieckie, łączyły z wrodzoną skromnością i wstydem niewieścim.

Acz skromnie lecz gustownie odziane, wdziękiem,

krasą i świeżością przyćmiły przepych strojów magnatek. Do tego ośmieliła je kasztelanowa i panna młoda swoją uprzejmością. Młodzież zaś nie spuszczała oczu z tych wdzięcznych krasotek.

Wszystkim siostrom pod względem urody nie było do zarzucenia, wszakże Urszulka przewyższała je teraz. Rozdrażniona nieustanną trwogą aby nie być poznana przez „Absalona” mieniła się ciągle na twarzy, to kraśniała, to bladła, co bardziej jeszcze powab jej naturalny podnosiło. Pilnie śledziła wszystkich przebranych kuso, w pudrowanych perukach—było ich wprawdzie zaledwie kilku, ale strój ten tak się jej wydawał jednostajnym, iż Absalona między nimi wyróżnić niemogła; a ztąd i sama doznała uspokojenia, że i ona w znacznie odmiennym stroju nie będzie poznana i już nieco trwogi się pozbyła, gdy w tem niespodziana okoliczność na nowo ją wzburzyła.

Wszystko już było gotowe do ślubu, oczekiwano tylko na przybycie drugiej druchny, którą być miała najbliższa sąsiadka, panna starościanka Chołoniewska z Janowa. Gdy w tem nadbiegł kozak na spienionym koniu, z pismem zawiadamiającem, że w skutek nagłej niedyspozycji starościanka nie przybędzie. Choroba druchny, zaraz to niby zły prognostyk, różnie różni o tem omenowali. Ale w każdym razie kłopot dla gospodarzy, którzy naradzali się ze sobą co tu

począć? Tymczasem ksiądz biskup sprowadzony umyślnie na ten festyu oczekiwał pontyfikalnie w kościele, iluminacje w miasteczku rozpalono etc.

Pan młody niecierpliwił się, trzeba było ceś w rychle postanowić, bo obyć się bez drugiej druchny zwyczaj nie pozwalał. Po cichej tedy naradzie z małżonką, kasztelan wzięwszy córkę za rękę zbliżył się z nią do Urszulki i powiedział:

— Zaiste *casus to pascudeus* niedyspozycja Imć panny starościanki, na szczęście jednak sama pisze iż nie jest groźną... Ale czegoż to my się turbujemy o inną druchnę kiedy mamy wybór najstosowniejszy — przecie panna młoda krom dwóch siostr zamężnych, ma jeszcze sześć w pannieńskim stanie, które także są mi córkami acz chrzestnymi tylko, przeto nie mniej milemi mojemu sercu. Submitujemy się tedy wmość pannie moja Urszulko, razem z dzisiejszą oblubienicą, abyś jako jedna ze starszych uczyniła swej siostrze zaszczyt druźbowania i wybawiła nas z onego *casus pascudeus*.

Był to w istocie krok może bardziej dyplomatyczny niż serdeczny ze strony gospodarza, gdyż w liczbie gości znajdowały się księżniczki i hrabianki (rozumie się świeżej kreacji, która przy schyłku zeszłego wieku w modę wchodziła), więc przez preferencję jednej arystokratki można sobie było drugą narazić, uderzając zaś w sferę sentymentalną, chociaż niższą i... wilk był syty i owca cała.

Ale biedna Urszulka wolałaby pięciu na raz odyńców w kupie spotkać, a prędzej by z nimi dała rady, niż z taką niespodzianką, z której niewiedziała jak się wywikłać. Szczęściem nawinęła się chorążyna rosnąca w niepomierną dumę na on zaszczyt nieoczekiwany, a przysadziwszy ręką Urszulkę do zrobienia pięknego dyga, recytowała za nią piękną perorę poczynającą się od słów:

— Nieoczekiwany ten, spotykający nas honor i splendor, który...

Wszakże oratorską jej wenę przerwał całus szczery, przynajmniej na pozór, panny młodej, złożony na zapłonionych policzkach Urszulki.

— Dziękuję ci z całego serca miła siostrzyczko—rzekła—za uprzejme przyjęcie mej prośby, racz tedy objąć twój nowy urząd, bo i tak się wszystko przewlekło, a ksiądz biskup oczekuje w kościele.

Tymczasem chorążyna nie darowała swego bo dopadłszy brata na uboczu:

— A co panie poruczniku — szepnęła mu z przekąsem—nie mówiłam, czyje na wierzchu? i jeżeli dziewczęta dostępują zaszczytu, to pewnie nie w tych cudackich myśliwskich strojach.

Rada nie rada Urszulka obejmowała nową godność: pan młody prowadzony już przez inną druchnę, podał jej drugie ramię i dawnym oby-  
czajem szli po błogosławieństwo rodziców i star-

szych, którzy tym końcem po środku komnaty dookoła kobierca zasiedli. Ciągnęła się machinalnie za weselnym orszakiem biedna Urszulka jakby na stracenie prowadzona. Zdawało się jej iż oczy wszystkich przytomnych nawskroś ją przeszywają, a najbardziej obawiała się peruk pudrowanych. Ani wiedziała nieboga w jaki sposób wsadzono ją następnie do paradnej kolasy obok panny młodej i innej druchny, jak u drzwi kościoła wydobył ją ztamtąd pan młody, którego z inną druchną prowadziła do ołtarza, ale sprawiedliwiej mówiąc, on włókł tę nieszczęsną ofiarę. Co zaś biedaczkę najbardziej zaniepokoiło to to, że przy zaczęciu samego obrzędu, stanęła przy niej jedna z pudrowanych peruk i chociaż ciekawość ją paliła aby się dowiedzieć czy nie był to jej Absalon, ale z konfuzji wzroku obrócić nań nie śmiała.

Z kościoła nowożeńcy wsiedli do paradnego ekwipażu pana młodego. Urszulce podała ramię „pudrowana peruka” na którą ona spojrzeć nie śmiała, obawiając się rozpoznać w niej Absalona—i ciągnęła niebogę do innego powozu.

Już chciała mu się wydrzeć, lecz widząc że i inne tak czynią poszła za ich przykładem. Posadzono ją obok innej strojnej kobiety, a naprzeciw usiadły aż dwie pudrowane peruki. Tu już trwoga biedaczki nie miała granic, obawiała się żeby jedna z tych peruk nie należała do Absalona.



Atoli bardziej się jeszcze przeraziła, kiedy powóz ruszył z miejsca i troje jej towarzyszy rozpoczęło żwawy dyskurs w jakiejś obcej dla niej mowie, wszakże nie po łacinie, bo tę znała expedite. Ta okoliczność przeraziła ją bardzo, a przypuszczając iż to jakaś na nią zmowa, tembardziej skoro dostrzegła, iż powóz zamiast wracać do zamku, będącego o parę staj nawprost kościoła, kierował się w przeciwną stronę, utwierdziła się jeszcze w powziętem przypuszczeniu.

Obawa jej wszakże nie trwała długo — i w rzeczy trudnoby przypuścić ażeby istotka z zimną krwią przystępująca do śmiertelnej walki z rozjuszonym zwierzem, dała się wywieść w pole lub bezkarnie dmuchnąć sobie w kaszę pozwoliła; animusz odrazu wstąpił w młodziutką pierś szlachcianki.

— J cóż z tego iż są cudzoziemcami—powiedziała sobie—przecie ksiądz-stryj naucza iż łacina jest kluczem porozumienia z całym światem, że wszystkie stosunki państwowe i prywatne odbywają się z obcymi w tej mowie. Nie namyślając się długo przemówiła wcale śmiało, pewnym i stanowczym głosem, po łacinie:

— Każcie ichmościowie natychmiast zatrzymać powóz, gdyż dłużej nie mam zamiaru towarzyszyć im w tej podróży, której cel mi niewiadomy.

Na tę jej mowę dwoje z towarzyszy zaniósł się od głośnego śmiechu. Wszakże jedna

z *peruk* spoglądawszy na nią ze zdziwieniem wcale nie impertynenckiem, z atencją odpowiadała po łacinie, którą w umyśle osądziła Urszulka za równie dobrą, jaką była owa księdza stryja.

— Próżne są waszmość panny obawy—mówiła *peruka*—jedziemy przecie w szeregu innych powozów. Według zaś przyjętego zwyczaju, udajemy się za oblubieńcami do cerkwi, synagogi i na ratusz, gdzie lud ma powitać córkę dziezdica tych włości; my zaś z obowiązku drużbów towarzyszymy nowożeńcom... Jeżeli tedy wmość panna jest zadowoloną z mojego wyjaśnienia, raczy zezwolić na zapytanie z mej strony, z jakiej racji dla porozumienia z rodakami uciekła się do wspaniałej *Cyceronów* i *Horacjuszów* mowy, którą bez pochlebstwa powiadając, władasz waćpanna doskonale, jak mi dotąd u *białogłowy* slyszeć się nie zdarzało.

Trwoga na nowo opanowała Urszulkę, bowiem po głosie poznała *Absalona*, lecz widząc że on jej dotąd nie poznawał, nadrabiała śmiałością i odpowiedziała już po polsku:

— Żarty waćpan sobie robisz z biednej dziewczyny, gdybyście bowiem ichmoście byli polakami jak ja, nie potrzebowalibyście porozumiewać się w obcej mowie, chyba że między waszmościami jest cudzoziemiec?

— Uczyniłaś nam wmość panna—prawił *Ab-*

salon—jakby powiedzieć, w mowie dopiero przez nas użytej *argumentum ad hominem* przeciw tej francuszczyzny, która się u nas zagęszcza. A tu jako żywo wszyscy mamy zaszczyt być jej ziomkami i owoż submituję się Felicjan Sołtyk to zaś Imépp. Podkomorzycostwo kijowsey rodzeństwo nowożeńca.

Przy tych słowach wszyscy wymienieni pokłon jej oddali. Odgadła instynktem dziewczyna, iż wypadło się wywzajemnić i kłaniając się uprzejmie:

— Urszula Glinczanka porucznikówna petyhorska—wypowiedziała dobitnie.

Odtąd dyskurs między współpodróżującami stał się ogólny po polsku, wszyscy się ochoczo bawili. Ze zaś rozmowa się zwróciła na łowy, opowiadano o sukcesach Absalona, czyli jak teraz już Sołtyka, który sam splótl jakiś andron o bohaterskiem zwalczeniu największego odyńca, przez co jeszcze bardziej uspokoił Ursulkę utwierdzając ją w tem przekonaniu, iż jej nie poznał.

Było to we zwyczaju, że gdy dziedzie żenił syna lub wydawał córkę, nowożeńcy od ślubu w towarzystwie weselnych gości udawali się do świątyn i innych obrządków, w miastach na ratusz, a we wsiach na ekonomję, gdzie odbierali hołdy i gratulację, w zamian których wedle możności, sypali hojnemi datkami. Obecna poślubna

wędrówka trwała dłużej nad inne, bo hołdujący w nadziei obfitszego zysku przygotowali przeróżne niespodzianki. Sołtyk wcale się za to nie gniewał upodobawszy sobie towarzystwo swej rzymianki, a wszędzie gdzie im przyszło wstępować okazywał jej szczególną atencję, którą dziewczyna acz nie płocha, przyjmowała jednak uprzejmie z wrodzoną białogłowską zalotnością. Wszakże ile razy utkwiał w nią wzrok badawczy dziewczyna doznawała konfuzji i obawy aby nierozpoznał w niej owego myśliwego. Dalsza wędrówka odbyła się wesoło, a setnie ubawili się towarzysze i łaciną i miłą prostotą Urszulki.

Nim się odprawiły wszystkie ceremonje, a następnie gratulacje nowożeńców, na zamku zasiedli do obiadu ledwie około godziny dziewiątej wieczorem; przy poczesnym stole zasiadł Ks. Biskup, jako pierwszy dygnitarz, mając po obu stronach nawożeńców, dalej rodzice państwa, poważniejsze matrony i wedle zwyczaju, każdy drużba przy swojej druchnie. Reszta gości umieściła się przy innych stołach, które aż w sześciu salach rozciągnięto.

Sołtyk z obowiązku—który wszakże nie wydał mu się uciążliwym—usiadł przy Urszulce, którą zrazu konfundowało, iż się znajdowała zdaleka od swoich, w nieznannej imponującej kompanji. Lecz attencje i uprzejmość jej sąsiada coraz ją bardziej ośmielały a jej niezrównana piękność

i skromne wzięcie ogólne jej względy zjednały. już w środku uczyt wcale się nie obawiała jego badawczych spojrzeń, będąc pewną, że ową przygodę łowiecką puścił w niepamięć, gdy wtem najniespodzianej, sąsiad ją zagadnął w poważnym a niemal uroczystym tonie:

— Dziwna to jest zaprawdę—powiadał—iż przy tak niedawnem, jakkolwiek szacownem i miłem z waszmość panną poznaniu, mam dla jej rodziny żywy sentyment dozgonnej wdzięczności.

— Chyba żartujesz w. pan ze mnie, gdyż pewna jestem, żeś dotąd nie słyszał o naszej rodzinie, a może nawet i nazwisku...—odpowiedziała swobodnie, w tem przypuszczeniu, iż to był nowy żart kompana, usiłującego ją rozweselić.

— Nie ośmielałbym się dopuszczać żartów z tak estymowanej osoby; wszakże pozwól waszmośćpanna zapytać, czyli masz brata?

Splonęła Urszulka, domyślając się o co chodziło, wszakże nim się zebrała na jakąś odpowiedź, Sołtyk ciągnął dalej z żywością:

— Niechciej mi waszmość panna negować, bo nie wątpię, iżeś o wszystkim zawiadomiona, jaką młodziutki brat jej wyrządził mi przysługę... Mało to jest nazwać przysługą, bo mi wybawił życie, kiedy chybiłem do rozjuszonego dzika, którego pokonanie najniesłuszniej mnie przypisują, ale postanawiam uczynić mu restytucję, jako

tryumfatorowi dzisiejszych łowów, a jako zbawcy życia podziękować mu publicznie... Raczże mi w. mość panna wskazać gdzie mam szukać tego walecznego młodzieńca?..

Chociaż rozmowa odbywała się półgłosem, a do tego była zagłuszona dźwiękami kapeli przygrywającej uctownikom, jednak Urszulce zdawało się, że wszyscy to słyszeli i oczy na nią jedną zwrócili. Na pół żywa z konfuzji modliła się nieboga w duchu, aby ziemia się zapadła i ją pochłonięła.

— Ale to może w. mość panu tak się wydało...—jąkała bezwiednie, aby cośkolwiek odpowiadać.

— Wybacz mościa panno, iż śmiem jej kontrować, atoli tak jest rażącym podobieństwo bracia do niej, nawet to małe rodzinne znamię na wardze jednakowe, jakbyście waćpaństwo byli bliźniętami. Powiem szczerze wać pannie, iż dzielnego to jest animuszu młodzian, możesz się waćpanna szczyć jego braterstwem...—a zapalając się coraz bardziej dodał:

— Zaprawdę, od kiedym żyw nie widziałem ażeby kto z taką abnegacją jak on, z narażeniem własnego bezpieczeństwa, szedł w obronie nieznanego sobie człeka! Jak Bóg na niebie, to jest istne bohaterstwo, które w zajęczem sercu nie zagości!

Nieboga milcząc siedziała jak na torturach,

obawiając się, aby kto tej rozmowy nie dosłyszał. Ona przecież dobrowolnie zrzekła się tego łowieckiego tryumfu, postanowiła nawet przed swoimi nigdy nie wyjawić tej tajemnicy — i miałoż to wyjść na wierzch!?,

— Nim miałem zaszczyt poznać wmość pa-  
nę—ciągnął dalej Sołtyk—i skonstatować to nie-  
zaprzeczone podobieństwo, suponowałem iż to  
był może który z myśliwych wuja kasztelana i  
miałem intencję pieniądze go nagrodzić, chociaż  
pomimo downiemanej nierówności stanu, jakby  
presentymentem wiedziony, uściskałem go po bra-  
tersku..

— Nie przeczę, że chłopczyna nieźle strzela  
jak powiadają, i może tym strzałem wmość pa-  
nu stanął w przygodzie, ale czy warto o tem  
mówić..--przerwała mu Urszulka, zdobywając się  
na ten fortel w przewidywaniu grożącego nie-  
bezpieczeństwa.

— Jak to!.. nie mam mówić o zbawcy ży-  
cia!?.—przerwał Sołtyk.

— Chłopiec uczy się jeszcze, wbilby się w  
zbyteczną dumę i... i... jeżeli przy pierwszej zna-  
jomości udzielisz mi wmość łaskawie prawo za-  
niesienia supliki, to upraszam, abyśmy już o tem  
nie mówili...—z trudnością wyjąkała dziewczyna

— Być posłusznym wmość panie podwójnym  
jest moim obowiązkiem, raz dla miłej i niezapo-  
mnianej nigdy z nią znajomości, a powtórę jako

dla siostry mojego wybawcy, o jedno tylko i ja śmiem supplikować, abym go mógł poznać, obaczyć choć na krótki moment i wyrazić...

W tem miejscu przerwał mu mowę niesłychany hałas: wchodził do sali p. Boreyko na czele kilkunastu strzelców, dmących fanfarę w rogi myśliwskie. Kasztelan trzymał w ręku piękny złoty roztruhan, na którym mistrz prawdziwy kształtnie wyrzeźbił rozmaite symbole i alegorye łowieckie. Jak wiadomo, puchar ten stanowił nagrodę, dla każdego gościa, któryby onego dzika pokonał, dla prostych zaś myśliwych wyznaczone było 10 dukatów.

Za panem Boreyką, dwóch hajduków na ogromnej srebrnej tacy dźwigało olbrzymią głowę dzika, zajuszoną i osmaloną, z kłami sterczącymi do walki, jakby dopiero z tułowiu uciętą, a tak straszną, iż płochliwsze niewiasty na jej widok zakrywając oczy, krzyknęły z przerażenia. Wszelako był to tylko wytworny kunszt cukierniczy zawczasu przygotowany w przewidywanym wypadku z odyńcem. Pan Boreyko uśmiechnięty i szczęśliwy, jak przy każdej krotofili, które praktykować lubił, zmierzał z całym orszakiem ku Sołtykowi, przed którym złożono ów łeb straszny uwieńczony girlandami. Kasztelan wtedy, dawszy znak rogom aby zamilkły, kazał z pełnego sobie nalać roztruhan i rozpoczął orację:

— Mnie wielce miły siostrzanie... *casus* „*pascu-deus*...



— Dozwólcie mnie wielce szanowny wuju kasztelanie—przerwał Sołtyk—sprostować zaszłą omyłkę, gdyż ów tryumf i nagroda mnie nie należą...

— A komuż *casus pascudeus*, jeżeli nie waćpanu!.. przecież powaliłeś oną srogą bestję!—największego odyńca, który kiedykolwiek był w moich lasach... Według metryk mojego nadleśnego ten potwór żył lat 22, a osaczony wytrzymał 19 strzałów i to tylko te, które ugrzęzły w smolnej skorupie... a co się odbiły... tych nie liczę.

— Wszakże mości wuju dobrodzieju...—odparł Sołtyk—jam tyle winien śmierci tego dzika, co oto przypuścemy Imépanna moja sąsiadka, a może i ona więcej przez związki rodzinne—zakończył schylając się przed Urszulką.

Spojrzał nieznacznie z pod oka na pomieszaną Urszulkę kasztelan i do Sołtyka powiedział:

— Wyklarujże mi waćpan całą sprawę, bo nie a nie nie rozumiem.

— Raccie więc posłuchać—rozpoczął na cały głos Sołtyk—wypowiadam całą prawdę, gdyż obowiązek restytucji ciąży mi na sumieniu.

Wszyscy zamilkli, a nawet z przybyłych komnat ściągnęła kupka ciekawych i Sołtyk opowiadał znaną nam przygodę, utaiwszy on wypadek *absalonowy* z peruką, i tak zakończył:

— Jakiś dzielny młodzian, z widocznem narażeniem swojej całości, zabiegł zwierzowi drogę

i celnymi strzałami, najprzód w jedno potem w drugie oko, jakich w życiu nie widziałem, położył na miejscu rozjuszoną bestję!

— Jakto i nie starałeś się waszmość poznać swego wybawcę, a przynajmniej czyliś go uściskał?—wtrącił p. Boreyko.

— Ol.. uściskałem go serdecznie, przywrócony przezeń do życia! Ale dziwny to, choć młodziutki człeczek, począł sobie wcale bez pretensji, a chociaż sam jestem przekonany najmocniej, że chybił, on mi tryumfu nie negował i nagle zemknął, a stał się powodem mojego łowieckiego kłamstwa, że na się przyjął cudzy tryumf; za co przepraszam i niniejszem czynię publiczną restytucję komu należy...

— Ale komuż to?. waćpan nie wiesz!..—spytał Boreyko poglądając znacząco na coraz bardziej pomieszaną Urszulkę.

— Traf nieomylnego podobieństwa z Imćpanną porucznikówną—prawił Sołtyk ukazując na swoją sąsiadkę, która już ze stołu oczu nie podnosiła—wyklarował całą tajemnicę, iż moim mężnym wybawcą, jest młodszy braciszek Imćpanny porucznikówny, czemu i ona nie zaprzecza.

— Ano proszę!.. nie zaprzeczał.. a to *casus pascudeus*, dzielny strzelec ten braciszek!..—wtrącił z ukrytym śmiechem kasztelan, rad iż mu się krotofila nawijała—a czemuż go waść nie starasz się poznać?

— Jako żywo, prosiłem o pośrednictwo w tej mierze jego zacnej Imé panny siostry, lecz nie raczyła się na to zgodzić..

— O!.. patrzcie, jaka niedobra siostra, aby zająć bratu sławy!.. Ano to już ja będę twoim pośrednikiem i poznam cię z tym braciszkiem, abyś dokonał należnej restytucji; ale wprzód musisz wypić za jego zdrowie!..—rzekł kasztelan uśmiech nięty, podając pełny puhar Sołtykowi.

Ten przyjmując, zwróciwszy się do ledwie żywej Urszulki, wypowiadał:

— Niechże przy tej sposobności wolno mi będzie spełnić ten kielich za pomyślność Imé panny siostry mojego szlachetnego wybawcy, przez podobieństwo której do brata, winę moją mogłem naprawić.

— Pij że asindziej i nie cackaj się, bo to *casus pascudeus* i wino może zastygnąć!—wtrącił p. Boreyko, dając myśliwym znak do wykonania nowej fanfary.

Skoro Sołtyk wypił, Boreyko uciszywszy na nowo trębaczy, głos zabrał, naginając Sołtyka do kolan Urszulki:

— Teraz—mówił—proś waszmość na klęczkach Imé pannę, aby raczyła wręczyć braciszkowi, tę tak dzielnie zasłużoną nagrodę..

Proszę cię moja doniu—prawił do Urszulki przemocą wkładając puhar w jej drżące rączęta—wręcz to braciszkowi, który tak dzielnie

strzela, że oczy stworzeniom bożym wybija i życzę ci z całej duszy abyś tak celnie strzelała pięknymi oczętami, jak on z rusznicy. A co do ciebie mości siostrzanie, toć powiem, iż w tem zamordowaniu dzika przez ciebie, dojrzałem ci wprawdzie jakąś fabułę *casus pascu-deus*, bom w oku bestji dokumentnie poznał gran kulki hiszpańskiego gardłacza, który niedawno mojej chrestniacze ofiarowałem, waść zaś miałeś w kniei tylko dziewierówkę, alem oponować nie śmiał, bo by to było nie dyplomatycznie.

Tymczasem na ten hałas ściągnęła do pierwszej sali szlachta z innych stołów, a jeden z nich miejscowy także Glinka z Glińska, dla którego kunszt łowiecki bliźniętek nie był tajemnicą, zawołał:

— A prosim i my też o puhar, wypijem na vivat porucznikównie, boć to nasza krew, także Glinczanka z krwi i kości. Co tu długo mosanie gadać, niema na sto mil takiego, a jam go mosanie nie widział, którego by ta dziewczyna nie przestrzelała. Całe myśliwstwo pana Kasztelana skoro zajrzało w oczy tej bestji, zaraz zawyrokowali, że to chyba ino porucznik albo jego córka Urszula, tak świntucha poczęstowali, ale że on znajdował się na drugim końcu lasu, o jaką godzinę drogi, to już nie chybi, że to Urszulka, a

niech że nam żyje zdrowa, kiedy za młodu ludzi od śmierci wybawia.

— Vivat Imé panna porucznikówna!..—sypnęły się głosy ze wszystkich końców.

Wrzawa się poczęła i huczek nielada, dzięki piwnicy kasztelana, która, jak twierdzą, łowiectwu jego nie ustępowała.

Podczas kiedy gromko wiwatowano, toczyło się krótkie a parte między kasztelanem, a Sołtykiem, który rzekł z cicha:

— Com ja uczynił panie wuju, myśląc w istocie, że to chłopiee!.. Z tego ferworu pocałowałem ją w oba policzki.

— A prawda że świeża jak jagódka—pocieszał kasztelan—no... to niby *casus pascudeus*, ale pewny jestem, żebyś to chętnie powtórzył, gdyby zezwoliła.

— Ale co gorsza panie wuju, ośmieszyłem się przed kobietą, bo gdym uciekał od dzika, perukę zgubiłem i pokazałem się jej z goluteńką głową.

— Ot co to!.. *casus pascudeus*, a nie mówiłem waćpanu nie gól tego łba jak pacjent od Bonifratrów i nie wdziejaj tego pudła!

— Daję na to parol, że skoro mi włosy odrosną wezmę z pudlem rozbrat na zawsze.

Kiedy się wrzawa nieco uciszyła, jedna z poważnych matron, słuchająca opowiadania Sołtyka o jego niebezpieczeństwie i cudownem wyrato-

waniu z całą kompasją, a od czasu do czasu lży ocierająca, powstawszy od stołu zbliżyła się do Urszulki, a przyciskając ją do serca, rzekła ze łzami:

— Moje drogie dziecko, uratowałaś mi syna od widocznej śmierci z narażeniem własnego życia! To czyn iście chrześcijański i bohaterski!.. Bóg tylko mocen cię nagrodzić, o co Go błagać nigdy nie przestanę. Atoli, żebyć w pamięci stała gorąca wdzięczność matki pocieszonej, racz przyjąć tę małą pamiątkę.

Powiedziawszy to zdjęła ze siebie naszyjnik i manele djamentowe, chcąc je włożyć na Urszulkę.

— Miłościwa pani—wzbraniając się od przyjęcia i przyciskając do ust rękę hojnej dawczyni — takie bogactwo nie dla mnie, dziękuję za chęć łaskawą. Pamiątkę zaś czynu tego, tak zwyczajnego, któremu za wiele przyznają zasługi, zachowam do śmierci w Jej serdecznych słowach.

Zaraz na to z kupki huknęła szlachta glińska:

— Oho! mosanie znać zaraz Glineczankę!. „barda dusza w ubogiem ciele”..! Niech żyje porucznikówna i ojciec co ją tak wychował—vivant!

— Co za gąska, toć to przecie szlachecki posag w tych djamentach — szepnęła oburzona chorążyna stojąc przy bracie.

— Słyszałaś asindźka co szlachta mówi,— Glinkowie jałmużny nie przyjmują — odparł porucznik surowo.

Pani Sołtykowa skonfundowana tą niespodzianką nie przyjęcia tak hojnego daru przez ubogą pannienkę, przystąpiła do poręcznika, który na uboczu, wmieszany w kupkę szlachty wszystkiemu się przypatrywał.

— Mości poręczniku — przemówiła doń u-przejmie — jako sam ojciec pojdziesz snadno mój sentyment wdzięczności dla swej zacnej córki za tak heroiczne wybawienie mojego syna. Sam to przyznasz wmość, iż takiemu szlachetnemu czynowi serce matki nie potrafi wynaleźć stosownego zawdzięczenia. Wszakże pragnęłabym aby tę bagatelkę odemnie chciała zachować wasza miła córeczka, jako słabe przypomnienie ulgi sprawionej macierzyńskiemu sercu. Raczże się wmość wstawić przed córką o jej łaskawe zaakceptowanie.

— Moja mościa dobrodziejko—wypowiadał poręcznik rubasznie i z prosta, jak to miał we zwyczaj—suponując gdyby się pozycje zmieniły i synaczek jejmości spostrzegł moją córkę w podobnem niebezpieczeństwie z wystrzeloną rusznicą, a mając dwa naboje nie przyszedł w pomoc, miałbym go za ba i bardzo. Gdyby zaś spełnił powinność chrześcijańską i ludzką, tak jak to moja dziewczka uczyniła—(bo co prawda, gdyby postąpiła inaczej tobym się jej wyparł:)—z duszy powiedziałbym wybawcy „Bóg zapłać!” ale nie dałbym mu żadnych djamentów, boć się takie rzeczy nie oplacają. Ergo wybaczy mi

jejmość dobrodziejka, iż pochwalam postępek mojej dziewczyny, która ograniczyła się na przyjęciu jej dobrych chęci.

— A to mi dopiero brat szlachcic co się zowie, to nie *casus pascudeus* mosanie! Podajcież mi tu rostruhan piastowski i hetmańską kapkę, na zapicie tej sprawy—zawołał kasztelan podsluchawszy allokucji porucznika.

Ochota się bardziej wzmogła, bo rostruhan to był prawie półgarncowy, a wino przeszło stuletnie.

Między setnemi powinszowaniami, które srodcze konfundowały Urszulkę, Imé ksiądz biskup, przystąpił z temi słowy:

— Błogosławię cię moja dziewczeczko, iżes sobie zasłużyła łaskę Pańską, dającą ci moc ratowania bliźniego w ciężkich terminach.

To błogosławieństwo arcykapłana przyjęte przez Urszulkę z religijnem rozrzewnieniem, było najcenniejszą nagrodą jej heroicznego czynu.

— Wasza eksellencjo!—wmieszał się i w to Boryeko—raczcie pomówić z moją chrzestniaczką po łacinie, to mosanie jak drugi Virgili.

Ks. biskup długo rozmawiał z nią tą mową i podziwiał jej erudycję.

Skromna dziewczyna ani się spodziała jakim splendorem zajaśnieje na tym nowym świecie, do którego z taką obawą przystępowała.



Sołtyk korzystając z tego zamieszania zbliżył się do Urszulki.

— Jeżeli przed wmpanną — powiadał z sentymentem — nie zginam powtórnie kolana, ku czemu mię niezmyślona chęć pociąga, to aby w obec tyłu świadków nie przyczyniać jej konfuzyi; atoli deklaram najsoleńniej i pragnę z duszy ów affekt, który wynurzałem dla jej mniemanego braciszka a stokrotnie powiększony, przenieść na jego siostrę, rzeczywistą i wspańiałomyślną moją wybawczynię, i to życie któreś mi ocaliła, pozwól wmpanna złożyć u nóg swoich na dozgonne usługi i pilne staranie o jej szczęście i pomyślność

Urszulka na tę strzelistą apostrofę odpowiedziała tylko żywszym rumieńcem. Snadź w prostocie ducha dziewczeczka nie pojęła donioślejszego tych słów znaczenia, a nie będąc z natury zalotną, poczytywała je za więcej jeden komplement światowego kawalera. Wszelako szept ów miłośny nie uszedł baczenia innych towarzyszek, a to tembardziej, iż wymawiały go usta światowego i bogatego kawalera, który dla magnackiej nawet panny stanowił, jak dawniej nazywano „dobrą kondycję”. Wogóle były im solą w oku bliźniątka, które tak wdziękami, jako łaciną i łowiecstwem całą uwagę na się towarzystwa zwróciły.

Lubo wiara nasza każe „mówić bliźniego jak siebie samego” a maksymę tę każdy pobożny ugruntowyywa przynajmniej parę razy na

dzień przy pacierzu, pomimo to jednak jakże jest pożądanem przy nadarzonej sposobności, dokuńczyć temu bliźniemu, a bardziej jeszcze tej bliźniej, poniżyć, ośmieszyć, czy jak po prostu powiadają podstawić nogę, szczególnie kiedy chodzi o najzaciętszą między niewiastami „walkę o byt”—małżeństwo.

Toż uknowały sobie spisek magnackie panny przeciw Urszulce i jej siostram, nie mogąc im przebaczyć tego przodowania w towarzystwie. Wyczekiwały sposobnej pory do wywarcia swej zemsty, a tą chwilą pożądaną miało być rychłe rozpoczęcie tańców.

Trzeba zaś wiedzieć, iż taniec ówczesny nie zależał na dowolnem, nieregularnem kręceniu się tędy owędy w polce lub galopadzie, albo niedbałem stapaniu w kadrylu. Taniec dawny, szczególnie na pańskich salonach, zawierał w sobie całą filozofię: boć należało pomagać i postawą i gestem, wykonywać trudne, napowietrzne skoki, w czasie perjodycznym, jak i kiedy wskazywała muzyka. Niemal cytowano na palcach sławne tancerki w popisowych tańcach ówczesnych, których była w użyciu moc niezliczona: menuet, gawot, matlot, szal, bolero, fandango i. t. p.

— Złapią się panny porucznikówny—myślały sobie litościwe bliźnie—na tej salonowej umiejętności, one które pewnie skaczą sobie w swoim zaścianku „mazurków, krakowiaków” i. t. d.

Zwyczaj zaś chciał ażeby na weselach, nowożeńcy ze sobą, a druźbowie z druchnami tańce rozpoczynali. Litościwe więc panie na poníženie bliźniętek, ukartowały ażeby pierwszym tańcem nie był żaden ze swojskich, ale sarabanda, ulubiony taniec dworu francuskiego, który z innem małpiarstwem nie dawno do nas przywędrował.

Już to głównie rzecz rozbijała się o Sołtyka, który świeżo za granicą w tych się tańcach doskonalił, a do tego nosił się kuso, co do tych skoków było właściwem. A wypadalo mu ze swoją druchną tańce rozpocząć, żeby zaś jej nie przyczynić konfuzji, chciał opłacić kapelę, ażeby coś swojskiego zagrała, ale że przy nowożeńcu była komenda tańcami, ten zaś pragnął ukartować marjaż swojej siostry ze Sołtykiem, więc pochwycił tę okazję aby jej rywalcę dokuczyć i zaordynował kapeli „sarabandę”..

— My jako nowożeńcy ze sobą, a druźbowie ze sobą, proszę dokoła—zawołał.

Obejrzeni się wszyscy co z tego wyniknie będąc pewni, że Sołtyk zaprosi inną druchną imépannę podkomorzanę. Lecz jakież było zdziwienie kiedy on stanął do koła ze swoją piękną wybawicielką. Litościwe zaś bliźnie czekały kolei odwetu, namówiwszy kawalerów aby wszystkie sześć sióstr do pierwszego tańca zaproszono. Biedny Sołtyk był w strasznych opałach i nie-

pokoju o swą wybawicielkę, rozmyślał tylko nad tem jakby jej zręcznie podszeptywać figury i tańcem ją swoim naprowadzić.

Wyciągnęły się pary sznurem, każdy tancerz z tancerką naprzeciw siebie w pewnej odległości, dla swobodnego wykonania ruchów.

— Poczekaście—szeptaly pomiędzy sobą bliźnie—nie będzie tu szlachciankom z miodem.

Zwykle tancerz pierwszej pary oznajmiał figury i kroki jakie wykonywać należało. Nowożeńiec także sławny tancerz teraz przewodził. Zagrzmiała muzyka a podkomorzyc komenderował:

— *Trois révérences, chassé, assemblé, jeté battue, pas de zéphyr, pas de pigeon, entrechat*, i t. d. Za każdym razem wszystkie oczy zwracały się na bliźniętka, inne zaś tanecznice zapatrzone na oczekiwaną ich konfuzję niedbale wszystko wykonywały, ich zaś taniec dbały a zręczny szmer ogólnego podziwu wywołał.

Nie wiedziały antagonistki o jednym sekrecie, iż mistrzynią w tańcu bliźniętek była ciotka chorążyna, sama niegdyś pierwsza tanecznica na słynnym dworze wojewodziny Lubomirskiej.

Pomimo tedy wszelkich „podstawiań nóg” zakrólowały na festynie porucznikówny: otaczali ich starsi rozmawiając po łacinie, młodzi nie mogli się dość nacieszyć ich urodą, zręcznością i tańcem. Pani Sołtykowa krok w krok śledzi-

ła za wybawczynią swojego syna. Wybawiony zaś już nie miał oczu dla nikogo tylko dla pięknej wybawicielki

Nazajutrz nowe połowanie nowych im dostarczyło sukcesów. Za każdą poręcznikówną stało po kilku z młodzieży, aby im służyć za strzelców do podawania i nabijania wystrzelonych rusznic. Słowem, kwaśno jakoś było magnatkom, iż pchane przez nie na dno bliźniętka wypływały na wierzch.

„Dawniej to każde wesele

Trwało najmniej trzy niedziele”

głosi stara pieśń. Trudno więc krok za krokiem śledzić te gody, które według dawnego zwyczaju wlokły się długo, ku uciesze i tryumfowi bliźniętek.

Pani Sołtykowa nim opuściła Pików, nie o-mieszkała razem z synem złożyć attencji poręcznikowi. Urszulkę szczególnie polubiła, ze łzami nieraz cisnęła ją do serca; odjeżdżając zaś wypowiedziała z affektem:

— Mości panie poręczniku, z nami nieskończone, bom ja debitorka waszej miłej, mężnej córy, która sprawiła to, iż dziś nie oplakuję straty pierworodnego syna. Niedosć więc żem się stawiała z submisją dla waszmości o małą milkę z Pikowa, ale umyślnie z dalekiej Ukrainy przybędę, aby wam mój sentyment i respekt okazać.

## VII.

**Orlikowie.**

Najdowało się w Glińsku jeszcze kilka rodzin podupadłych Glinków, ci już wprawdzie nie krewni ale tylko stryjcowie herbowni pomiędzy sobą: wielu z nich zubożało do tyła, jak się to praktykowało w rozdrabianych wsiach szlacheckich, iż niekiedy kilku rodzonych braci lub dalszych krewnych na jednej sadybie chłopskiej siedziało; a nie różnili się oni od chłopów obyczajem, edukacją, ani wyobrażeniami. Szlachta to acz jednego szczepu i derywacji, ale dla lepszego odznaczenia, oddawna poprzybierali sobie rozmaite imioniska. Tak jak znany nam porucznik miał przydomek Janczewski, była znów inna dzielnica Glinków - Orlikowskich, pospolicie Orlikami zwanych, z tymi wyjątkowo zostawał porucznik w stosunkach zażyłości. My też się z nimi poznamy.

Krótką jest historia domu Orlików, jak wielu innych szlacheckich w one czasy: *pater familias* onej dzielnicy, Imię p. Grzegorz Glinka Orlikowski, co do fortunki miał się niedawno równie dobrze, a może i lepiej od porucznika, piastował niegdyś urząd ziemskie regenta, pisarza, podsędka. Lecz czasu konfederacji barskiej, kiedy miecz Temidy na Marsowy zamienił, jakoś

się biedakowi noga powinęła. Wrócił nieborak z wojaczki bez ręki, okryty ranami, do domu opustoszałego, bez jedynej i gorliwej opieki towarzyski życia, która go opuściła z trwogi i tęsknoty za wojującym małżonkiem. Dwaj jego chłopcy sieroty wałęsali się na łasce ludzi. Mając teczek zaś przez zastawy i procesa oplątali tymczasem jurystowie, ta istna plaga w dawnej Polsce, która dała się we znaki szczególnie uboższej szlachcie.

Szczęściem było jeszcze dla p. Grzegorza, że jednocześnie wrócił z wojaczki porucznik, który dzielną a pocziwą dłonią ochraniał resztę fortunki jak mógł—aliści nie mógł wiele, bo już na znacznej części rozsiedli się zastawnicy. Chłopaków jak sam umiał kształcił w wojennem rzemiośle i łowiectwie, a gdy nastał na probostwo O. Honorat zaprzagł ich razem z bliźniętkami do alwara. Bacząc zaś na wiek męzki i niewieści różnica nie była tak wielką między pierwszą parą bliźniętek i chłopcami, trzy do czterech lat starszeństwa tych ostatnich, to przy różnicy płci rówieśnictwo. Od dzieciństwa więc razem się chowali; z początku chłopaki Stach i Grześ zwijali łątki i kukielki dla kompanek; potem razem stawali do musztry i łowów pod komendą porucznika; następnie emulowali przy łacinie księdza stryja. Wprawdzie chłopakom trudniej szła ta emulacja książkowa, gdyż nie

tylko na ich głowach, ale i rękach spoczywało mizerne gospodarstwo na kilkunastu morgach; sami panowie, sami słudzy, ciężko musieli pracować, aby na niczem nie zbywało ojcu kalece, którego otaczali wzorową synowską miłością.

Wiem o tem z doświadczenia, iż źle wycho-  
dzą bazarze bawiący się z czytelnikiem w śle-  
pą babkę, gdyż on zazwyczaj sam odgadnie o co rzecz  
chodzi i zadrwi z mistycyzmu autora. Czy nie  
lepiej zatem prosto z mostu, powiedzieć rzecz  
ową, tak zresztą prawdopodobną, że obaj mło-  
dzi Orlikowie rozmówiali się w starszej parze  
bliźniątek: Stach w Urszulec, a Grześ w Hance.  
Nie posądzaj znowu czytelniku, iż tak się stać  
musiało dla dobrego toku powieści. Atoli rzecz  
tem się naturalniejszą przedstawia, że obie pa-  
ry w całym *glińskim* otoczeniu nie znalazłyby  
innego przedmiotu miłości, która z wiekiem oboj-  
ga par stawała się na czasie.

Pan porucznik nie był krzyw na to; a bacząc  
na stateczność i usilną pracę Orlików, dozwalał  
rosnąć zobopólnemu afektowi, do czego nie mało  
się przyczyniła wzajemna miłość dwóch starszych  
siostr pomiędzy sobą i pewna sympatya czę-  
sto wrodzona bliźniętom, iż zawsze dzieliły jedne  
chęci, doznawały jednych wrażeń, nawet cho-  
rób, a rozdzielone na dłużej tęskniły do siebie.  
Przekonał się o tem porucznik bo kiedy po  
śmierci matki, Hanke wzięła na wychowanie bo-



gata i bezdzietna krewna, na Litwę, trzyletnie wówczas bliźniętka tak żywo zateęskniły do siebie, iż obie wpadły w jedną ciężką chorobę, lekarze zaś zawyrokowali, iż to jest skutek tęsknoty i że siostry w rozłączeniu żyć by nie mogły. Porucznik więc mimo świetnie zapowiadającej się dla Hanki przyszłości, odebrał ją narażając się na gniew bogatej krewnej i obie dziewczątka od jawnej uratował śmierci. Rad zatem był rodzącej się skłonności pomiędzy starszemi córkami i Orlikami, wiedział bowiem, że ci na szczupłym gospodarstwie nigdy się nie rozłączą i przeto odpowiedzą higienicznym warunkom życia bliźniętek.

To lubo nieme przyzwolenie ojca, pojęły obie pary rozmiłowane, dając wolę rodzajem się uczuciu, poczytywały się jakby połączonemi. Zresztą i tak się nigdy nie rozłączali ze sobą kochankowie, dziewczęta dotąd za granicę Glińska nie przekroczyły. Kościół był we wsi, knieja pod wioską, rozmiłowane chłopaki zawsze przy nich i czegoż miały szukać po za tym małym uroczym świątkiem? — Innego prawie istnienia nie przypuszczały. Wprawdzie ciocia chorążyna, mieniąca Orlików prostakami, stawała niekiedy rozmiłowanym parom w poprzek drogi. Lecz owa mała przeciwność przyczyniała się jeszcze do wzmocnienia stałości.

Takby się to wlokło w spokoju przy bło-

giej nadziei, gdyby nie ono nieszczęsne wesele u kasztelana. Już sama myśl, że dziewczęta po zagranicę wioski cichej wyrzują, iż zetkną się z pięknym powabnym światem, zapewne ujrzą świetniejszych ludzi niż oni prostaczkowie, napęłniła Orlików trwogą. Najprzód podnieśli zamiar całę niewykonalny namawiać dziewczęta do oporu wszechwładnej na on czas woli ojca; gdy zaś to się okazało mniej politycznem, nasunęli myśl, aby siostry doświadczające zawsze jednocześnie choroby, udały ją tym razem. Szczególniej Stach, żwawszy i gwałtowniejszej natury, obstawał przytem.

— Ale czemu i my choć raz w życiu nie mamy wyrzeć na świat, a zresztą ucieszyć się temi sławnemi łowami, boć z podobnemi, jak ojciec utrzymuje, może się uigdy nie spotkamy?

— Więc ty mnie zdradzasz!—mruknął zagniewany Stach.

— Daleko to jeszcze do zdrady, przecie i małżeństwa żyjące zgodnie bywają w kompaniach i bawią się, a z naszych zamysłów Bóg wie jeszcze co będzie!..—odparła biedna dziewczyna.

— Bo mnie nie miłujesz tak jak ja ciebie—wtrącił młodzieniec.

— Nie dałam powodu do podejrzenia.

— A gdybyśmy zdeklarowali się ojcu? Na co to odwlekać...

Dziewczęta pokraśniały i zamilkły.

— Cóż ty na to Hanko? — spytał z kolei Grześ.

— Zapewne... jeżeli już na przyszłość ma przyjść do czego, to trzeba od tego zacząć—odparła Hanka jękając, przy silnym rumieńcu.

Powzięli chłopcy mocne postanowienie, ale jakoś im się nie kleiło. Zaprawdę, można być mężnym i odważnym, iść na niedźwiedzia i dzika, w boju nie mrugnąć do rusznicy przeciw sobie skierowanej; aliści są odwagi i odwagi, a wymówienie jednego prostego słówka trudniej czasem się przesunie przez usta, niżli mowa sejmowa lub kazanie prostego wikarego w obec biskupa.

Nie było to jednak o tyle trudnem ile się chłopakem wydawało. Porucznik bowiem był człek charakteru powolnego przy całej żołnierskiej punktualności, łagodny i wyrozumiały, dostępny dla wszystkich, a tembardziej dla Orlików, będąc im chętny już to przez pamięć na ich ojca, już z racji ich statku i pracowitości. Wszakże zamiar Orlików możeby nigdy nie osiągnął skutku, gdyby nie ta okoliczność, że dziewcząt zajętych igłą razem z chorążyną, w przygotowaniach na festyn kasztelana, nie mógł odrywać do kniei i udał się na łowy z Orlikami. Ci zaś dołożyli starań i jakoś im bożek miłości poszczęścił, iż łowy nadspodziewanie się powiodły. Każdy z nich może dla ważności oczekiwanej chwili, lub z umysłu, padłował, porucznik

nałukł moc zwierzyny i był w doskonałej dyspozycji. Skorzystali z tego chłopaki, a obcesowo jakby z procy padli do nóg porucznika:

— Hanka... Urszulka... coś wybąkali, piąte przez dziesiąte.

Porucznik, że to był człkiem szczerzej żołnierskiej natury, a zwykle mając to na języku co i na myśli, podjął łaskawie chłopaków od kolan i prawił łagodnie, z sentymentem.

— Widząc ja moje chłopaki co się święci, smalicie cholewki do starszej pary i dziewczęta na was nie krzywe. Niemand nic przeciw temu, bo z was chłopcy nie ułomki, do pracy żwawi, byliście pocziwymi synami, to już dobra speranda szczęścia na przyszłość; bo widziałem jak to biedne ojczyisko w momencie śmierci błogosławił was i dziękował Bogu iż mu takich dał synów...

Na wspomnienie ojca Orlikowie rozrzewnieni ucałowali rękę porucznika, ten obudwóch do serca przycisnął.

— Atoli zważcie sami chłopaki—ciągnął dalej porucznik—iż jak to powiadają zła miłość o głodzie. Znam wasz stan majątkowy, bom przecie ratował jak umiałem wasze sprawy, chociaż z temi jurami i djabeł nie poradzi. Zaledwie sami z wielką biedą wyżywicie się, a trzebaż pomyśleć, że z małżonką wchodzi więcej osób do domu niż jedna... A jeżeli dziewczęta wzięły

plodność po matce, to w kilka lat przybędzie was kilkanaścioro, więcej niż chata pomieści, a gumno wyżywi? Ja choć nie trwonię, ale z tej mojej mizerji nie wam udzielić nie będę w stanie, sam jeszcze żyję, a prócz dzieci i siostra zrujnowana na karku i tej nie wypędzę...

— Będziemy pracowali...—przerwali nieśmiało Orlikowie.

— Znam was z tej strony żeście pracowici, ale z piasku bicza nie ukrećisz... Poczekajcie jeszcze, spłaćcie jeszcze choć połowę zastawników, żeby było o co ręce zacząć... Wiem że to wam idzie oporem, że łatwiej wyrwać oset z korzeniem, niż jura pozbyć skoro wlażł na dobrą zastawę.

— Panie stryju, my się tymczasem postarzejemy nim się pozbędziemy tych jurów—przemówił Stach śmielszej natury.

— A no to i dziewczęta będą starsze, nabędą więcej doświadczenia, mniej będzie dzieci—rzekł uśmiechnięty porucznik.

— My będziemy pracowali a tymczasem ktoś dziewczęta zabierze—znów ozwał się Stach.

— I to stać się może jeżeli Bogu się tak podoba. Małżeństwo przecie to destynacja każdej białogłowy, która się nie chce poświęcić życiu zakonnemu. Mam sześć dziewcząt, trudno żebym im los zagradzał jeżeli się coś statecznego trafi, ale szczerze to wypowiadam, że skoro da wam

Bóg jako tako polepszyć sytuację, z chętnego serca wam pobłogosławię...

— O panie stryju! ja bez Urszuli żyć nie mogę—przerwał Stach zapalczywie.

— Chłopczel!.. Bóg z tobą!.. przeżegnaj się a nie bluźnij—rzekł surowo porucznik--człek jako istota cielesna nie może się obyć bez jadła, a jako duchowa bez wiary i czci. A z sentymentem to już jak Bóg pokieruje, a rodzice zezwolą tak się i stanie... Pracujcie jak dotąd a nie obalamucajcie sobie głów i dziewczętom, bo dobrze to starzy powiedzieli: śmierć i żona od Boga przeznaczona.

Tak mniej więcej w ogólnikach skończyła się deklaracja Orlików. Za całą nadzieję pozostało im dotychczasowe odosobnienie dziewcząt.

— Parę lat da Bóg lepszych... może się nam powiedzie?—pocieszali się młodzi.

Widmem jednak trującym najpiękniejsze ich nadzieje było wesele u Borejki. Oni także jako myśliwi odebrali inwitację. Stawili się do kniei a następnie na pokoje. Warto bowiem zauważyć, że jeżeli w czem za dawnych czasów bywała równość prawdziwa to w tem jedynie, iż sierak i baja ocierały się o karmazyny i złotogłowia, obok zaś aksamitów i koronek było miejsce dla syców i drelichu. Nie było dzisiejszego konwencjonalizmu, który już doszedł do tego „iż nie człowiek suknię a suknia człowieka

zdobi“... Wszakże czuli do siebie Orlikowie brak wykwińskiego wzięcia się, prostotę stroju, która do świetnych panów i pań bogato przybranych dostęp zagradzała. Cóż dopiero jak dziewczęta stanęły do tańca, a zwróciły wszystkich oczy i zachwyty cały na swoje wabne i piękne osóбки, robak zazdrości toczył serca biednych młodzieńców, którzy zdala tylko, w kupie szaraczkowej szlachty, mogli się przypatrzeć tym cudom. Wszelkie tryumfy Urszulki na weselu boleśnie Stachowi serce bodły.

— A któż ci tam kazał—mówił do Urszulki— z narażeniem własnem ratować tego gagatka od odyńca, a niechby drasnął tego kudlacza swoim zębkiem?

— A masz że ty Stachu Boga i miłość bliźniego w sercu, żeby tak powiadać? Każdy się przecie może znaleźć w takim niebezpieczeństwie.

Zaledwie przeminęły te trwogi weselne, gdy następowały nowe niepokoje przez odwiedziny pani Soltykowej z synem. U Stacha znów zawrzało w sercu:

— Urszulko — powiadał jej z ferworem — ty już chyba nie będziesz nigdy moją, boś zasmakowała w pańskich pokojach i ich spezie. Ten zaś panicz woniejący, w kurteczce i czupiradle na głowie, takie ci prawił dusery, na które ja się charłak nie zdobędę.

— Czyś oszalał Stachu, trudno przecie żebym

się przed ludźmi sromala i zakrywała łokciami jak prosta chłopka. Ot nagadali komplementów i odjechali, a kiedym ja przyrzekła być twoją, to już nieczyją nie będę, chociażby przyszło w panińskim stanie do śmierci dotrwać.

Tak samo i Hanka pocieszała Grzesia. I w istocie jakoś się wszystko uspokoiło i w dawne karby weszło: dziewczęta jak dawniej polowały z Orlikami, oni znów krwawo się pocili, ażeby zastawników wyrugować i co rychlej stanąć na ślubnym kobiercu.

---

### VIII.

Kiedy po kilku tygodniach weselnych godów, uciszyło się na zamku kasztelana sami swoi tylko pozostawali w rodzinnem kółku, przysłuchajmy się zwierzeniom młodego Sołtyka przed wujem i matką.

— Szanowny wuju kasztelanie—wypowiadał ten nieśmiało — s etnież mi się nadaje poruczni-kówna Urszula.

— Nie neguję waszeci gustu; boć to nie *casus pascudeus*, a dziewczka dobrego gniazda, gdyż to stary ród Glinków, lubo ostatniemi czasy podupadły, a dobrze to chowane, po bożemu i ry-cersku, prawdziwie „do stroju i łoju”.

— Pozwólcież panie wuju, czynić waszmpanu



konfidencję, iż życzylbym sobie posunąć... posunąć... — tu się zająknął i w gardle mu jakoś zastygło.

— A jakież to *casus pascudeus* dławi waści?, chcesz mówić posunąć w kunkury, a i owszem będę ci dziewosłębem przed moją chrzestniaczką, jeśli tylko jejmość pani matka?..

— I owszem panie bracie — ozwała się imci pani Sołtykowa—dobry ród, dziewczyna skromna a szlachetna, już ujęła mię za serce przez samo odrzucenie mojego daru. Oby Bóg pobłogosła-  
wił imprezom mojego syna i przy waszej ła-  
skawej interwencji...

— Śmiem tedy suplikować pana wuja — dokończył Sołtyk całując kasztelana w ramię.

— Ależ powiedz mi chłopaku, jakże to taki *casus pascudeus* z tym pudlem na głowie i w kurteczce staniesz przed panną co odyńcom oczy wylupia? Wprzód synku niech podrośnie czupryna i wąs, a wtedy sprezentujemy się pannie po ludzku, ale nie jak *casus pascudeus* i da Bóg może co z tego będzie, a swatowstwa nie odmówię.

Tak tedy podczas gdy w Glińsku spokój i nadzieja zakwitły na nowo pomiędzy rozmiłowanemi parami, na dalekiej Ukrainie odrastały czupryna i wąs panu Sołtykowi.

W jakich więc parę miesięcy, czas mniej więcej wymagalny na porośnięcie gęstego włosa,

imé pani Sołtykowa zjawiła się w Glińsku z synem. Ale z jakim synem? Wąs zawieszony ozdabiał twarz całę piękną, o postawie wspaniałej dostatni kontusz sajetowy na grodenaplowym żupanie dodawał statecznej powagi i prawdziwie męskiej prezentacji, czupryna z polską podgolona, siarczystego dodawała wyglądu. Ani poznała wybawicielka swojego wybawionego, tak się bowiem odmienił z gruntu.

Jakoż ten Sołtyk, z którym nam się należy bliżej poznać, nie należał do tych zapamiętałych wiercipiętów, jacy się wtedy kręcili po naszym świecie, zapominających dla kusego stroju i zapamiętałej cudzoziemskości, obowiązków dla kraju i społeczeństwa. Owszem statecznym był i dobrym obywatelem. Za młodu tylko ówczesnym zwyczajem magnackim, udawszy się dla kształcenia się za granicę, wiele się tam nauczył. Z fantazji zaś przez naśladownictwo, strój obcy przybrał, który teraz kwoli rozmilowaniu w Urszulce opuszczał.

Państwo Sołtykowie obrawszy locum standi w Pikowie, niemal co dnia odwiedzali Glińsk. Chorążyna rada, iż w dawną sferę magnacką się przenosiła, kazała wystroić klawikord, kocy-powała rozmaite tańce assamble i niespodzianki, byle przynęcić kawalera, którego zamiary już się jawnemi stawały.

Zamącił się nanowo czasowy spokój Orlików.

— O! co teraz to już źle koło nas bracie— utyskiwał starszy Orlik przed Grzesiem—bo póki był pudlem i małą, nie tylem go się obawiał, ale teraz kiedy do człowieka podobny, Urszulka spogląda nań milej. Mam ten trwożliwy pressentymment, iż gotów mi dziewczkę zdmuchnąć, ale powiem ci bracie, że czy w kurcie czy w żupanie zje djabła nim przystąpi do Urszulki, chyba po moim trupie.

— Ej, zanadto się gorączujesz bracie—uspakajał Grześ — czy to magnaci tak łakomi na nasze szlachecianki, ot potańcuje z dziewczętami tych swoich niemieckich tańców i odjedzie, zkąd przyjechał. A nam byle Bóg poszczęścił spłacić choć cokolwiek zastawników i staniemy na kobiercu. Znasz przecie stryja porucznika, że z gęby holewy nie zrobi.

— Nie podzielam ja twego spokoju—obstawiał przy swoim Stach—a ręka mi swędzi zrobić burdę temu natrętowi i naznaczyć go dobrze na pysku, żeby się pannie nie nastawiał.

— Zaniechaj tego zamiaru bracie—perswadował młodszy—bo znasz jako stryj porucznik jest nieprzyjacielem zwad i burd, dopiero popsulbyś całą sprawę, w której dotąd nie widzę nie straconego.

Wszakże okazały się niepłonnemi obawy Stacha: razu pewnego przybyła pani Sołtykowa z kasztelanem Borejka, a bez syna, który zawsze

towarzyszył matce w tych odwiedzinach; oboje państwo wyglądali oficjalniej i solennie, przybyli w paradnej kolasie z orszakiem. Kasztelan w bramowanym kontuszu, z czaplem piórem u sobolego kołpaka — to już było nie bez kozery. Do tego nie pytali o panienki, czego nigdy nie omieszkała czynić pani Sołtykowa, wielka admiratorka dziewczątek, szczególnie wybawczyni swojego syna. Tak wyglądały solennie te odwiedziny, Chorażyna wielka znawczyni wielkich światowych konwenansów, udzieliła swych kombinacji zapłonionej i wielce strwożonej Urszulce.

— Nie daremnie obserwowałam, że od rana sroka skrzeczała na drzewie i do tego na lipie, a kotka od dwóch dni się umywa, to już nie chybi z oświadczynami przyjechali. Zmów że sobie aśćka paciorek na sukces tej imprezy, przecież raz odżegnacie się od tych *chamów*—tak pogardliwie nazywała Orlików.

Tymczasem w gościnnej izbie toczył się następny dyskurs, który zagaiła sama pani:

— Nim będę submitowała Imć panu porucznikowi rzecz wielkiej wagi, która mnie tu sprwadza, poczytuję za stosowne powiadomić wmpana o mojej sytuacji majątkowej: posiadam jak wiadomo po nieboszczyku mężu moim *jus comunicativum* \*) na starostwo Zwinogrodzkie, zaś

---

\*) *Jus comunicativum*, tak się nazywał przywilej

samej kwarty do skarbu dość skąpo likwidowanej, płacę przeszło 40 tysięcy złotych, krom tego posiadam ośm wiosek dziedzicznych a jeżeli Bóg życia pozwoli...

— To jeszcze coś uciulasz pani siostró — przerwał niecierpliwie Borejko — a że Bóg pozwoli jestem tego pewny, bo siostra wyglądasz jak pączek w maśle... ale jak widzę pani siostró *casus pascudeus*, mizdrzysz się do wdowczyka imci p. porucznika i odbiegasz od celu, w którym tu przybyliśmy; a wybacz żeć powiem całą sprawę *casus pascudeus* indukujesz po babsku... Muszę asińdzkę wyręczyć i prosto z mostu!.. Otóż mości poruczniku, syn imci pani Starościńy Feliejan, a mój siostrzan, zapalał enym, a gorącym afektem do waszej przezacnej córy, mnie zaś wielce milej chrzestniczki Urszuli i oto krótko mówiąc submitujemy się wmość panu a bratu z supliką o zaakceptowanie dla niej tego kawalera na dozgonnego towarzysza... *dixi mosanie casus pascudeus*.

— Zaszczyt to dla mego domu i dziewczki niepomierny, który sobie wysoko nad wszelkie inne szacuję, ale...—rozpoczął porucznik zgięty we dwoje... Borejko mu przerwał niecierpliwie.

---

królewski nadający starościńskie dobra po śmierci starosty w dożywocie jego żonie. Wszakże starostwa grodowe i pograniczne temu prawu nie ulegały.

— Co tam za „ale” to *casus pascudens*, a chłop dobrego rodu nie ułomek, poczciwy, stateczny, a dla miłości panny zrzucił ze siebie pudła i kurtę niemiecką; substancja przyzwoita, z głodu nie pomrą, chociażby im Bóg dał dwa razy tyle bliźniąt co jegomości i ja jako kawałek ojca Urszulki daję z góry moją aprobatę... *ergo* zamiast onego „ale” każ waszmość dać wina i zapijemy tę sprawę.

Kasztelan znanym był z tego, iż każdą sprawę lubiał zapijać i to potężnym haustem. Kazał Glinka przynieść wino i kiedy Borejko był zajęty „zapijaniem sprawy” zwrócił się do starościny.

— Jak się wyżej rzekło, mościa dobrodziejko zaszczyt to wielki dla mnie i mojej dziewczki i byłbym niewdzięcznym a nazbyt zaufanym w miłosierdziu Bożem, gdybym do tak zaszczytnej deklaracji moje „ale” jak imépan kasztelan wyraża, oponował. Wszelako jest ku temu przeszkoda nie wynikająca z mojego widzi mi się lub fantazji, tylko z natury rzeczy i siły wyższego zrzędzenia.

Tu opowiedziawszy znaną nam okoliczność, co do niemożności rozłączenia bliźniąt na czas dłuższy, zakończył:

— Racz więc tedy imépani Starościna mieć mię za wyekskuzowanego, iż tak zaszczytnej kolidacji, a ztąd jasnego splendoru na mój ubogi

dom spływającego, akceptować nie mogę. Atoli sama wmość osądź, iż dla szczęścia jednej skazywać drugą, a może i obie na śmierć...

— A to *casus pascudeus*, mosanie—przerwał od kieliszka Borejko — wszelako *est modus in rebus*, pani siostra jest poczciwa i potulna kobiecina, muchy w życiu nie zabiła, nie więc nie będzie miała przeciw temu, aby się siostry nie rozłączyły i Hanka rezydowała przy Urszulce.

— Al.. mości kasztelanie—przerwał z wymówką porucznik—ażalisz zwiesz to waszmość *modus in rebus*, poświęcać jedno dziecko dla drugiego i stawić je w pozycji przeciwnej naturze i predestynacji białejgłowy... czyliż dla tego iż jedna będzie zażywała szczęścia w małżeńskim stanie, druga ma się dla niej martyfikować w panieństwie?

— A więc afirmujesz wmość, iż to nie jest *modus in rebus*, ano więc *casus pascudeus*!?.—zapijmyż tę sprawę ozwał się znów kasztelan od kieliszka.

— Mości poruczniku—ozwała się z powagą wdowa — jakkolwiek bolesną mi jest ta rekuza, atoli za złe mieć jej nie mogę, jako z ważnych racji wypływającą... Zwyczajem jest a zaprawdę niewczesnym, iż zerwane podobne układy osłabiają dobre relacje obudwóch stron; o jedno więc suplikuję wmości, niech to między nami nie zajdzie i niech ten dom pozostanie nadal

dla nas przychylnym i jeżeli los nie zdarzył szczęścia mojemu synowi dzielić życie z tą która mu je wybawiła, pozostawcie nam wasze łaskawe względy i życzliwość.

— Mościa dobrodziejko!.. zanadto cenię niezasłużoną łaskę i względy dla siebie i domu mojego, abym nie upraszał o ich dalsze zachowanie—wypowiedział porucznik całując z galanterją rączkę niedoszłej swachy.

Tymczasem i kasztelan dosączył reszty wina i rekuza wyjątkowo zakończyła się w dobrej komitywie.

Bytność ta mająca solenne pozory, wielce zaniepokoiła tak starsze bliźniętka, jako i Orlików. Pozostawszy same, z obawą spoglądały dziewczęta ojcę w oczy, czyli im czego stanowczego nie zwiastuje i dzień cały przeszedł im w ciężkiej turbacji.

Uspokoily się dopiero rozmiłowane pary, kiedy nazajutrz zjawił się staroście nadzwyczaj ceremonialny i poważny. Oświadczył iż przybywa z pożegnaniem, gdyż nieprzewidziane sprawy majątkowe wymagają rychłego powrotu do domu. Matka zaś jego, jako trochę niedysponowana, czas jakiś w Pikowie miała bawić. Nadto ponury był, bez zwykłego humoru i animuszu. Nie wyrzekł „do widzenia” czasu powrotu nie oznaczył, a krótko zabawiwszy odjechał.

— Niezawodnie ojciec dał mu rekuzę—zakon-



kludowały rozmiłowane pary i na nowo spokój w nie wstąpił.

Atoli spokój to był niedługi i nagle zjawiała się chmura na sentymentalnym horyzoncie, w postaci imiępana starościca Ignacego Sołtyka, który razem z bratem Felicjanem przybywał. Ignacy o rok starszy od brata, ale z nim odmiennego był usposobienia, zażywny, dzielny chłopak, nie posiadał wielko-światowych popędów młodszego i kiedy ten uczył się i wojażował, on siedząc na roli pilnował gospodarstwa. Był to nie paniecz, a raczej brat szlachcic zagonowy, któremu z oczu patrzyło, iżby się po niemiecku nie przebrał. Jego rubaszny i otwarty charakter bardziej się nadawał do prostych i skromnych usposobień mieszkańców Głińska.

Czyli z gotowym przybywał, lub mu przypadała Hanka do gustu?—lecz od razu obcesowo posunął w konkury, mniej wzdychał, więcej bawił dziewczęta. Myśliwy zawołany znał wiele arkanów łowieckich, polował z dziewczętami, śmiał się na całe gardło. Orlików by nawet rozruszał, gdyby zazdrość miłośna nie leżała im na sercu.

I Grześ z kolei sposepniał, a zwierzał się bratu:

— Słuchaj-no Stachu — powiadał — coś mię kułak swędzi do natarcia temu szlachcicowi uszu.

— A teraz ja ci powiem — mitygował Stach —

zanadto się gorączujesz bracie, trzeba mi było nie przeszkadzać póki był jeden. Z kolei ja ci powiem, że stryj porucznik burd nie lubi. Poczekajmy jeszcze, nie tak straszego nie ma, a gdy co do czego przyjdzie, to już spuść się na mnie, że dziewczek nam nie zabiorą.

Tymczasem we dworku porucznika widocznie coś się ważnego kartowało, bowiem, prócz codziennych gości starościców, przybywali kasztelan ze starościną i o czymś z porucznikiem konferowali. Pewnego dnia we dworku czyniono ważne przygotowania, jakby na wielkanoc. Myto podłogi, niszczone pajęczyny, okadzano bursztynem, zdjęto pokrowce ze sprzętów i zwierciadeł—słowem coś się ważnego gotowało. Nazajutrz od rana dom przybrał aspekt świąteczny. Porucznik przyodział kontusz sajetowy, atlasowy żupan, czapkę z czaplem piórem i karabełę od gości przypasał. Chorążyna mściśławska przetrząsałszy swoje kufry sama się stroiła i starszą parę bliźniąt ze szczególniejszem staraniem; a gdy drżące i trapione smutnym pressentymem, pytały ciotki o powód tej solenności.—

— Ja nie wiem, tak ojciec kazał—odpowiadała tajemniczo.

Blisko południa już wszystko było gotowe a sam porucznik chodził, niecierpliwie naglądając na gościniec, to z ganku, to z okien. Inni mieszkańcy Glińska widząc iż coś się tam nie-

zwykłego we dworku święci, zaglądali ciekawie przez częstokół. Jakoż niebawem na gościńcu ukazała się liczna kawalkata, jakby wojsko jakie, aż się cisi mieszkańcy wioski przerazili, bo od kiedy żywi nie widzieli w swoim zaciszu takiej chmary ludzi i koni. Myśleli zrazu iż może popęd wsią przeciagną, ale się setnie zadziwili, kiedy orszak prosto posunął do dworku porucznika, którego szczupły dziedziczyk zaledwie mógł pomieścić tak wielu ludzi.

Myśleli iż to pospolite ruszenie, gdyż słyhać było, że już uniwersały na wojnę wydano, a to tylko po prostu przybywał kasztelan Borejko, ze starościna Sołtykową; każde z nich z wielką prozopopeją, w osobnej paradnej kolasie, z otoczeniem jezdyńskich dworzan w świątecznych strojach. Dalej dwaj starościcowie każdy w swej poszóstnej karocy od złota, z forysiami w paradnej liberji, przy nich zbrojne kozaki, boć to byli ukraińscy panowie.

Porucznik z chorążyną powitawszy gości niskimi pokłonami, do wnętrza domu wprowadzili. Iż rzecz to była zawczasu umówiona między stronami, co do deklaracji dwóch starościców o porucznikówny starsze, a chodziło tylko o dopełnienie ceremoniału, którego dawniejsi ludzie ściśle przestrzegali, więc skoro weszli do gościnnej izby, kasztelan jako swat urzędowy, wszakże niebiegły w krasomówstwie, wybaknął mówkę

*pro forma* na którą porucznik także zwięzle odpowiedział, wypowiadając dawno już wiadome przyzwolenie.

-- Stokrotnie dziękując w imieniu Imé pani starościny Zwinogrodzkiej a wielce nam milej siostry i we własnem jako swata—prawił Borejko — supplikujemy o assentymnt nadobnych cór waszmości, który i przezacnym kawalerom pilno jest z ust nadobnych bogdanek usłyszeć... A nadto... *casus pascudeus*... bez onej pożądaney konkluzji sprawa się dokumentnie nie zalewa, a jak wiadomo czas jest drogi.

Usłużna chorążyna, znając już te zwyczaje obrzędowe, wymknęła się cichaczem do alkierza, gdzie bliźniątka postrojone w kwiaty, jak owieczki ofiarne, wyczekiwały fatalnego momentu, który już dla nich nie był tajemnicą. Nie pytając więc ciotki, poszły za nią potulne, ledwie żywe.

Wszedłszy do komnaty, machinalnie, jak marjonetki, uczyniły dyg kompanji i stanęły drżące i blade, wyglądając prędzej na kandydatki do trumny, niżli do ślubnego wianka.

Z porządku rzeczy wedle ceremoniału, od ojca zależało teraz wypowiedzenie swej woli i etc. Lecz biedny porucznik widząc ciężką alterację córek mimowoli przywiódł na myśl wspólny ich affekt z Orlikami, których sam jak synów miłował, markotno mu się na sercu zrobiło, tak iż

nie miał mocy wygłosić biedaczkom już ferownego rodzicielskiego wyroku.

Lecz Borejko, który w trakcie tego zajrzawszy sobie prywatnie do flaszy już nieco *zalał* sprawę, pierwszy przerwał to kłopotliwe milczenie, a zbliżywszy się do dziewcząt z poufałością starca i ojca chrzestnego, gładząc je po pięknych wybladłych twarzyczkach, perorował:

— A co moje córeczki *casus pascudeus*, przyszła kréska na Matyska, a mówiłem że nie trzeba bałamucić chłopców, owoż teraz macie.

To mówiąc posunął starszego starościca ku Urszulce, a młodszego ku Hance.

— Moje dzieci!—przerwał gościowi poważnie ojciec, nie rad iż tak ważna sprawa za nadto krotofilny obrót przyjmuje—moje dzieci... za łaską Bożą i wolą moją oddaję was jako dozgonne towarzyszki imépp. starościcom Zwinogrodzkim i z całego serca ojcowskiego błogosławię was na ten nowy a stanowczy krok w życiu, prosząc Boga wszechmogącego, aby zlał na was łaskę i miłosierdzie.

Starościcowie pochyłili się do kolan poręcznika, który podnosząc ich szczerze uściśnął.

Bliźniętka tymczasem stały jak martwe, próżno im chorążyna dawała rozmaite znaki, których nie dostrzegały; zatem popchnąwszy je do nóg starościnie pochyliła. Matrona szczerze i ser-

decznie tuliła dziewczątka do piersi, a przez łzy i rozrzewnienie słowa przemówić nie mogła.

Z kolei Borejko doczekał upragnionego *zalania* sprawy, a chcąc rozweselić zasumowaną kompanję.

— A dajcież acaństwo folgę tym sentymentom, bo to *casus pascudeus*—wołał—zawsze to lepiej wlewać niż wylewać, ot miasto tych łez zapijmy sprawę za zdrowie podwójnych oblubieńców... W czepku się zaiste rodziłeś mości poruczniku, bo niema to jak bliźnięta, ot naprzykład i teraz jednym strzałem ubiłeś dwa ptaszki, a ja miałem już sześć wesel w domu... Zły to porządek na świecie z temi podwikami, czemu to po dziesięć na raz na świat nie przychodzi, mniej by było zachodu, wszystkiebym zamaż wydał na jednym weselu.

Porucznik w trakcie tego skinął na pachółka a odwiązawszy klucz od pasa coś mu poszeptał i ten wkrótce wniósł bardzo poważną flaszę, z której gdy nalano p. Borejce, on zaś rozsmakował:

— A toż nie *casus pascudeus* mosanie—huknął—na zdrowie oblubieńców, aby dobrane pary żyły ze sobą w dobrej komitywie tak długo ile ów sekt z tym gąsiorem, już lepiej Bóg świadkiem życzyć nie można.

Przez ten czas pani starościna cieszyła się przyszłemi niewiastkami. Dziewczęta prędzej mar-

twe niż żywe, w roztargnieniu przyjmując te pieszczoty, deliberowały w myśli o Orlikach, o ich rozpacz, o tem zresztą jakby im wiary nie złać, a wydobyć się z tych nowych narzuconych przemocą więzów. Starościna składając tę obojętność na karb konfuzji i nieśmiałości nie ustawała w przymileniach.

— Moja miła Urszulko—ozwała się w końcu—teraz spodziewam się, nie pogardzisz tą skromną pamiątką, która od dnia heroicznego twego czynu i powrócenia mi syna, do ciebie należeć winna.

To mówiąc stroiła dziewczynę w znane nam djamenty z łowów kasztelana. Urszulka jeszcze się od tego wzbraniać chciała, lecz widząc to ojciec powiadał:

— Jako od przyszłej, da Bóg doczekać, pani matki przyjąć należy i podziękować za łaskawe względy.

Z obojętną tedy pokorą ucałowała rękę hojnej dawczyni, która tymczasem dobywając z woreczka równie piękne klejnoty Hankę w nie przystroiła.

Rozpoczynala się uczta za wczasu już przygotowana. Weszły młodsze siostry i dworzanie szlachta, przybyli z kawalkatą. Młodzież popisywała się w tańcu przy dźwiękach klawikordu chorążyny. Była na pozór ochota, wszakże oblubienice tańcząc automatycznie, jak nakręcone marjonetki-

spoglądały na drzwi, azali nie wejdą Orlikowie, po których przy każdej większej okazji porucznik posłać nie zaniedbał. Lecz teraz zapomnieni, snuli się między gawiedzą pod oknami, a przypatrując się wszystkiemu, od czasu do czasu konwulsyjnie ściskali furdymenta szabelek.

Chorażyna uszczęśliwiona, że na nowo otwiera się przed nią kolligacja z magnackim dworem, nie posiadała się z radości, a ile razy dopadła na uboczu dziewcząt, postrojonych w bogate dary, nie omieszkała szepnąć:

— Same powiedzcie panny czy nie lepiej to z panami? Na początek macie takie hojne dary, któremi ucieszyłaby się każda hetmanówna lub wojewodzianka. Toć przecie nie pięciogroszowy medalik z odpustu od tych waszych nieokrzesanych Orlików?

— Pewno że nie—odparła zaperzona Urszulka—za setkę takich djamentów nie mieniałabym Stachowego medalika.

— Ja też Grzesiowego—dodała Hanka.

— Ej głupie wy gąski, moje panny, niech ino się pokręcicie na wielkim świecie, będziecie widywały porządniejszych pajuków niż te chamy Orliki.

Zaledwie o brzasku dziennym Borejko, dolewając sprawy strzemiennym, zagadnął porucznika:

— A teraz mości swacie, ażeby się rozmiłowane pary nie mortyfikowały, raczeź im nazna-



czyć nie oddalony termin zaślubin, o co supplicują przez moje niegodne usta tak Imć pani siostra starościna jako i oblubieńcowie..

— Acz każde desideryum szanownych wmość państwa poczytuję sobie za ordonans — odparł porucznik z respektem — wszelako sam mości Kasztelanie dałeś mi relację, iż agitujący się sejm już wojnę uchwalił i lada dzień uniwersałów spodziewać się mamy, azaliż to czas przystojny do odbywania godów, które volens nolens należy odłożyć na termina pokojowe..

Biednym bliźniętkom mowa ojca polechtała po strapionych serduszkach, gdy w tem:

— A za jakież to *casus pascudeus* poczytujesz nas poruczniku — przerwał oburzony Borejko — abyśmy się czasu wojny doma usiedzieli uczy wyprawując? Przecie i twoi przyszli zięciowie już się zarejestrowali do wojska.. i my też starzy nie zostaniem za piecem. Owoż tak to ukartowaliśmy z Imć panią siostrą, ażeby remotis arbitris bez wyprawowania godów, cichym ślubem połączyć oblubieńców; poczem nowożeńcy przygasiwszy na czas pochodnie hymenu, rozpalą mårso-we pociski. Młode zaś mężateczki razem z siostrami i Imć panią Chorążyną schronią się na ten czas burzliwy, w zamku jejmości starościnskim, gdzie i bezpieczniej, boć tu się prawdopodobnie theatrum wojny przeniesie. *Ergo et haec facienda et illa non omittenda*, można służyć Kupidynowi i Bellonie, co nie jest *casus pascudeus*,

a w oczekiwaniu ferowania dekretu wmości w tej materji, zalewam tę sprawę...

Po krótkim rozmyśle stanęło na tem jak ukarował kasztelan, a ku większej mortyfikacji bliźniątek zbliżyła się fatalna chwila stanowczego rozłączenia z Orlikami.

---

## IX.

Po wyjeździe gości już o dobrem świtaniu, porucznik ze sajetowego kontusza, przedzierzgnąwszy się w podróżną kapotę, natychmiast puścił się do miasta, wzięwszy ze sobą siostrę, Imię panią chorążynę, bowiem należało o jakiej takiej wyprawce, wedle staniku, dla córek obmyśleć, a siła zakupów poczynić na gody, mające się odbyć za sześć tygodni.

Czyli trzeba powiadać, iż zaledwie turkot porucznikowego wózka zagłuchł za wiejskim kolowrotem, kiedy obie siostry z Orlikami ni ztąd ni zowąd, znalazły się w pobliskim lasku na małej polance, gdzie zazwyczaj w chwilach wolnych siadywali sobie we czworo, na zwalonym a mchem obrosłym dębie, używając rozkoszy odosobnienia. Chociaż jako niby braciom a siostram, nikt im dowolnie spotykać się nie bronił, jednak iż osamotnienie często posiada swój urok w pewnych warunkach życia, więc

go szukali, wcale jednak bez zdrożnych zamysłów.

Teraz z upragnieniem siostry wyczekiwały tego momentu, który zdawał się odwlekać całe wieki. Mało byłoby im skrzydeł aby pospieszyć na ulubione miejsce, lecz wlokły się obecnie niebożęta zółwim krokiem ze spuszczonei główkami, jak delikwentki na stracenie.

Już zdala dojrzały Orlików siedzących na zwalonym dębie, który był dla nich tronem miłości. Ci zaś dostrzegłszy zbliżenia sióstr, jęli się pewnego rodzaju dyplomacji—jeden coś niby pilnie majstrował około flinty, drugi zatopiony był w wiązaniu sieci, której koniec na pobliskim krzaku umocował.

Dziewczętom wszakże na widok dzielnych ulubieńców sporzej uderzyły serduszka, a zabaczywszy obawy, rącho podbiegły do siedzących, nawołując zdala serdecznie srebrnemi głosikami:

— A przeciel.. Stach! Grześ!..

Obadwaj chłopcy powstali poważnie, z jakąś już uprzednio obmyślaną rewerencją.

— Do usług imépań Starościcowych—wypowiedzieli z emfazą.

Nato niespodziane wystąpienie Hanka czulszej dyspozycji, czyli jakby dziś powiedziano słabszych nerwów, wybuchnęła głośnym, dziecinnym płaczem.

— Co to za komedje ,wyprawiacie Stachu?.. rzekła prawie surowo Urszulka.

— Nas chudopachołków nie stać na teatrum, do wyprawowania komedji, takowe się odegrały wczoraj na *dworze imć pana Porucznika*—odparł Stach szorstko kładąc nacisk na ostatnie wyrazy.

— Kiedy tak i wy jeszcze urągacie naszej biedzie, to bywajcie zdrowi... pójdziem ztąd Hanko!—wypowiedziała gniewnie Urszulka, siląc się na pobamowanie rzewności w głosie, która się mimowoli przedzierała, a wzięwszy siostrę za rękę pociągnęła ją w przeciwną stronę.

— Urszulko! Hanko!—wołali Orlikowiez przerażeniem, goniąc za niemi, aż zabiegli im drogę—co prawda, siostry nie wysilały się na szybkość...

— Puście nas—przemawiała niby gniewnie Urszulka—nie mamy co tu robić, albowiem urągacie zamiast nas pocieszać w frasunku.

— A piękny mi zaprawdę frasunek—podchwycił drzwiaco Stach—imć panna już od kawalera przyjmuje prezenta, a jak mi powiadał karbowy Jan, który wino nalewał takie to kosztowne klejnoty, iż cały Glińsk można by za nie kupić.

— Weź - że je wacpan sobie i kup Glińsk, a mnie daj święty spokój—zawołała Urszulka na dobre rozdaśana, odpychając Stacha i odchodząc nie na żarty. On wszakże zastępował jej drogę.

— Więc powiadasz nie przyjęłaś?.. A pfe

mościa panno być taką wykrętną i nie szczerą, kiedym sam widział przez okno, na własne oczy, żeś cały wieczór płasała w djamentach z tymi gagatkami—i powiadasz nie przyjęłaś?

— A cóż miałam czynić biedna, wsadzili na mnie te obrzydłe djamenty jak obrożę na psa, ojciec zaś kazał przyjąć?

— Tak!.. jeżeli ojciec każe tak samo przyjmiesz starościca i powiesz go sobie na szyi—przerwał Stach zapłonawszy gniewem.—Ale nie-doczekanie jego!.. ja mu na miazgę potłukę te djamenty na łbie, na którym niedawno jeszcze pudła nosił i bądź pewna iż prędzej mu zaśpiewają *requiem* niżli *venicreator* z waćpanną. To już jakem szlachcic powiadam!..

— Chodź Grześ—zwrócił się do brata—weźmiesz serpentyny, a porozbijamy tym trutniom łby z kretešem.. tylkoż spieszymy bo oni słyszę dziś wyjeżdżają z Pikowa... pilno im usłać sobie gniazdko z jejmościankami, a ja im wpródy grób wykopię.

Grześ wszakże niesłyszał tej braterskiej odgrózki, będąc zajęty na uboczu ważnym dyskursem z Hanką, która ukradkiem łzy ocierała.

Urszulka zaś z dumą i sentymentem przyjmując ów ferwor miłośny Stacha:

— A cóż ci z tego przyjdzie gdy im grób wykopiesz?—wtrąciła łagodnie, mierząc chłopaka czułem spojrzeniem.

— A to ich tam złożę i waćpanna nie obrosisz już przedemną swego Adonisa, jak niegdyś przed odyńcem... Jakiś to zły duch poniósł ciębie na drogę tego perfumowanego gagatka; gdybym to był przeczuł wysmarowałbym ci rurę od flinty łojem niechby go tam świntuch poszarpał!.. Ale co teraz śmiało już możesz strugać krzyżyk na mogiłę twego djamentowego kawalera. bo że go płatnę, to płatnę setnie, jak amen w pacierzu!

— I sąd weźmie ci gardło za mężobójstwo, jak zeszłego roku Rozembowskiemu—zakończyła Urszulka.

— Niech sobie biorą, mniejsza z tem..

— A ja?—rzewnym głosem spytała Urszulka.

— A ty?—smutnem echem zawtórował Stach i mimowoli stanął jak wkopany. — A ty?—powtórzył—jam cię miłował nad życie, takżeś mi wiary dochowała?

— A w czym że cię zdradziłam?

— Jeszcze pytasz, przyjąwszy deklarację tego kawalera?

— Alboż przyjąłam?

— I jeszcze się zapierasz?—rzekł Stach z oburzeniem.

— Boć to święta prawda: zawołano nas z Hanką, wystrojone jak kukły przez ciotkę chorążynę.. imć pan kasztelan już po *zalanej sprawie* wybełkotał deklarację od starościców, ojciec

w krótkich słowach przyjął... Pani starościna wycalowała oblewając łzami i nikt nas o nic nie pytał.

-- Pomimo to można było samej powiedzieć...

— Dobrze to tobie mówić pod dębem, ale jak tu było głos podnosić w obec ojca i tak licznej kompanii?...

-- Więc lepiej było przyjąć starościca z dajmentami?—przerwał Stach wracając do poprzedniej ironii.

— Słuchaj Stachu, ty mię znasz żem nie jest płochliwą, a niełatwo się ulęknę, ale są rzeczy których po niewieście wymagać niepodobna... Ale skoro tego nie chcesz rozumieć a czepiasz się jakiejś złości, której nie zasłużyłam, to i ja tych twoich przekąsów dłużej znosić nie myślę.. ostań więc z Bogiem, niech ci los szczęści, a ja pójdę za wolą ojca i mojem przeznaczeniem.— Wypowiedziawszy to stanowczo i energicznie, Urszulka oddaliła się szybkim krokiem, a widocznie bez zamiaru powrotu.

— Moja miła, moja jedyna!—wołał Stach już rzewnym i spokorniałym głosem, zabiegając jej drogę.—Wybacz mi, miej wzgląd na mój affekt dla ciebie, który mi zmysły pomieszał. Ale Bóg mi świadkiem, że bez ciebie wyżyć niezdolam a poświęciłbym moją egzystencję, żeby twoją dołą osłodzić.

— Więc dla tego aby moje życie osłodzić,

chcesz się stać mężobójcą i dać głowę pod miecz katowski.

— Stokroć to wolę, niżli widzieć cię żoną innego.

Jeszcze nią przecie nie jestem, a jeżeli już innej rady nie będzie wtedy trzeba się oglądać na Boga i prawo.

— Więc moja najmilsza, moja jedyna powiadasz iż jest rada, a jaka?.. o mów, mów?

— Ojciec jest dobry, na was wielce łaskaw, a tyle razy przyrzekał, że skoro spłacicie o tyle o ile zastawników...

— Tak to jest—przerwał Stach z goryczą—ależ nam biednym jakoś wszystko idzie oporem!.. Kiedy my tych zastawników spłacimy!—Tymczasem stryj zmienił intencję, a raz postanowiwszy nie cofnie danego słowa, szczególnie w obec tak możnych swatów jak pan kasztelan.

— Kto tam wie, nie traćmy nadziei—uspakajała Urszulka—bywają przykłady że i od okłarza rozechodzą się, jak nie dawno stolnikówna braclawska.

— O droga Urszulko!.. tyś panią jest mojego serca, jam twój niewolnik—zawołał młodzieniec w uniesieniu.

A potem odeszli w stronę, swobodnie szepotali, uśmiechali się jak tamta para i dopiero zachodzące słońce, pod rygorem przyzwyczajności, zmusiło obie rozmówane pary do odwrotu.



Cały tydzień niebytności porucznika, przemknął jak jedna chwila wesoło i swobodnie rozmiłowanym parom. Zapomniały dziewczęta iż były narzeczonymi, tak im się pięknie uśmiechała nadzieja zerwania nienawistnych węzłów.

Tymczasem we czworo uknuli spisek na porucznika, zamierzając jak przedtem, uderzyć w jego słabą stronę.. łowów. Orliki z dziewczętami przebiegali rozmaite knieje, tropili zwierzynę, ażeby porucznik stęskniony do łowów, miał się czem ucieszyć za powrotem. Udało im się szczęśliwie wytropić w sąsiednim lesie łosia, który naówczas stanowił rzadkość w tych stronach. Strzeżgli go jak oka w głowie do powrotu porucznika, który rad do łowów stanął.

Orlikowie zarządzili polowaniem w ten sposób, że łoś wyszedł na porucznika i rozumie się śmierć poniósł z jego ręki. Dalej zaś, czy to wyszło ze zмовy z bliźniatkami?.. ale tak się stało, że on jeden był bohaterem łowów, a krom niego mało kto strzelał z powodzeniem. Dopieroż staremu żal się zrobiło Orlików i pomyślał sobie:

— A któż to krom nich, takie doskonałe łowy urządzi?

Kiedy chłopaki usposobili porucznika dla siebie, wypatrzywszy moment, kiedy sam na sam z nim pozostali przy starszych bliźniatkach, rzucili mu się do nóg:

— Panie stryju nie gubcie nas, miejcie litość nad nami—rozpoczął Stach śmielszej natury.

— Bóg z wami moje chłopaki, o co wam idzie?—podnosząc ich rzekł porucznik zdziwiony a może i udający zdziwienie.

— Raczyliście przecie obiecać panie stryju, że skoro spłacimy zastawników, dacie w małżeństwo mnie Urszulkę a Grzesiowi Hankę, tymczasem...

— Powoli chłopcy, pomówimy jak na statecznych, a do tego ludzi jednej krwi przystało—rozpoczął łagodnie porucznik kładąc rękę na ramieniu—prawda wasza moje chłopaki, iżem wam napomknął o tym projekcie, w nadziei iż uda się wam spłacić zastawników, a widząc waszą pracę i usiłowania w tej mierze, której niestety Bóg nie poszczęścił. Spłaciliście wprawdzie jednego, ale ten niepocziw wytoczył przeciw wam sprawę najniesłuszniejszą w istocie, ale którą wygra, mając prawo za sobą i znów na całe wieki na zastawie zasiądzie, inni toż samo uczynią...

— Przecie stryj sam widzi, iż my nie próżniaki, pracujemy jak te woły w pługu—przerwał Stach z goryczą.

— Alboż ja wam zarzucam?.. Bogiem się świadczę, że nad wszelkie alianse na świecie, jako nie mający męskiego potomka, wolałbym dla córek nasz klejnot i godność szlachecką za-

chować. Gdybym tylko miał te dwie dziewczki, anibym się zawahał los ich w wasze pracowite ręce powierzyć; atoli mam ich sześc, a już niedługo mi na tym świecie, po mnie zaś niewiele zostanie, gdyż i ja także będę klepię. Gdzież się reszta przygarnie, jeżeli starszych za życia nie postanowię?.. Żal mi was chłopcy, iż mimowoli stałem się dla was przyczyną zawodu miłostnego, ale któż go tam z nas nie doznał za młodu?

— Wasze to dzieci i wasza wola—przerwał Stach opryskliwie, a cale bez respektu, jaki starszemu należał.

— Raczej powiedz chłopaku moje to dzieci i moja bieda, a gdy ci je Bóg da kiedy, sam się może przekonasz, iż ojciec często staje się niewolnikiem smutnych konieczności .. Alboż i dla moich córek, które wiadomo mi że affekt wasz dzielają, ażali chciałbym być narzędziem przymusu?—wypowiedział porucznik rzewnym tonem łez blizkim.

— Ot powiadają, że na frasunek dobry trunek — ciągnął dalej porucznik rubasznie — a ja jako stary żołnierz mówię wam, iż na serdeczne apprensje niemasz jak wojenka, która się właśnie nadarza. Już widziałem w grodzie uniwersały, wkrótce i do nas nadejdą. Nie wątpię iż żaden Glinka doma się nie osiedzi i nie zadamy fałszu waleczności rodowej kilkunastu już pokoleń, odprawiwszy wesele i ja tam z naszymi

nadciągnę... Ot wiecie co chłopcy, ruszajcie przodem za dni parę do obozu, obeznacie się trochę z rzemiosłem nim co do czego przyjdzie. Macie swoich parę wierzchowców, wybierzcie sobie z nich dwa inne pod juki i broń jaka się wam spodoba, a czego tam jeszcze nie dostanie.. A da Bóg szczęśliwie powrócicie, jest przecie jeszcze cztery Glinczanki... tym zaś dwóm nie psujcie losu, który im Bóg nadarza... Ano chłopaki czy tak dobrze?.. ino bez rankoru!

Zakończył z affektem przyciskając młodych do serca. Grześ rozrzewniony ucałował rękę stryja ze łzami. Stach to uczynił szorstko, z widoczną niechęcią, jakby wyrzucał bratu ten przykład pokory i odeszli.

Porucznik zaś widząc Hankę zachodzącą się od serdecznego płaczu, przycisnął obie do piersi, prawiąc czule:

— Moje dzieci, wy przynajmniej dodajcie mi odwagi bo mi setnie żal i was i tych chłopaków. Mam ci ja wprowadzić na sumieniu, żem dał urosnąć waszemu zobopólnemu affektowi, ale same to zważcie, iż przy naszej biedzie losu takiego jaki Bóg zdarza odrzucić się nie godzi... Wasz ten smutek ofiarujcie Bogu i jeżeli nie woli ojca, to na intencję szczęścia młodszych sióstr.

— Będziemy wam posłuszne panie ojcze i coście postanowili to dla nas świętem jakby od Boga—wypowiedziała Urszulka rękę ojca do ust

przyciskając, Hanka lubo srodze splakana, jednak poszła za siostry przykładem.

— Bóg też, jestem pewny, wysłucha moich gorących modłów i pobłogosławi was w tem i przyszłem życiu—zakończył porucznik tuląc do ciepłego serca bliźnięta.

— Jeszcze słówko moje dzieci—rzekł do odchodzących dziewcząt—nie narzucam wam mojej woli przez rozkaz rodzicielski, bo ufam waszemu rozumowi i stateczności—ale jeżeli jak same osądzicie stan rzeczy zmienić się nie może, radziłbym unikać spotkania z Orlikami.. do czego bowiem rozjątrzać te rany, które dla wspólnego dobra i spokoju, co ryblej zabliznić wypada...

---

## X.

Od przytoczonej rozmowy porucznika z zakochanemi parami zmieniła się postać rzeczy. Kiedy bliźnięta wyszły z tej łaźni argumentów rodzicielskich, Hanka jako czulszej natury nie mogła się utulić w płaczu.

— Moja siostrzyczko — wyjęczała przez łzy tuląc się do piersi Urszulki—ja nie przeżyję rozłąki z Grzesiem, ja umrę.

Na pięknem obliczu Urszulki, boleść zarysowała się po męsku, w marmurowej bladości i połysku oka. Nie mniej ją może dojmował sa-

rowy wyrok ojca, ale zważywszy w dojrzałym umyśle jego sprawiedliwość, poddała się z mężstwem i mocą hartownego ducha.

Hanka dała się skłonić do mądrej rady siostry i nazajutrz obie ukłękły przed trybunałem pokuty ojca Honorata. Ten mądry kapłan nie nadużywający zazwyczaj władzy najwyższej danej od Boga, umiał w mądrości swej w jasnych i krótkich słowach, wielką prawdę objawiać. Atoli teraz każdą z sióstr zatrzymał dłużej przy konfesjonale, od którego wprawdzie odeszły spłakane, ale nie łzami cierpkiej rozpacz, tylko spokoju i chrześcijańskiej rezygnacji.

Porucznik czynnie się zawnął około wyprawienia Orlików. Osobiście doglądał wszystkich przygotowań, już to jako stary praktyk w tej mierze, a powtóre jak nam wiadomo miał inne powody do przyśpieszenia odjazdu braci. Szło wszystko sporo: rymarze dzień i noc pracowali około siodeł i juków; krawcy szyli kurty i sukmany. Dwa podjezdy juczne a przedniejsze wybrał ze swej stajni porucznik, sam broń białą ostrzył, palną zaś oczyścił i zlustrował. Dał każdemu po trzosie skórzanym z 20 obrączkowemi dukatami. Słowem wedle możności o niczem nie zapomniał, a wyprawiał jak własnych synów. Mieli już za dwa dni wyruszyć, lecz porucznik mając termin w grodzie o dzień ich wyjazd uprzędził.

Niech was Bóg prowadzi i błogosławi—rzekł na odjeźdźnym przytuliwszy ich szczerze do serca — do widzenia za parę tygodni w obozie... Radzę wam wyruszyć pod noc, bo powiadają iż podjazdy nieprzyjacielskie kręcą się po okolicy, a byłoby nie dorzeczy dać się złapać przed niewodem, jak śnięta ryba.

Przez cały tydzień przygotowań Orlików do wyprawy, bliźniątka ani razu nie zajrzały do zwalonego dęba. Bracia żywiąc nadzieję spotkania chodzili tam ustawicznie. Nareszcie nie widząc dziewcząt zniecierpliwili się, szczególniej Stach, czynił cierpkie wyrzuty na zaoczność.

— To już imępanie starościcowe widocznie chcą dochować wiary swoim paniczkom... Ach złapię ja kiedyś tego ex-kudłatego, a nie będzie mu z miodem.

Urszulka choć widocznie smutna i przygnębiona, jednak postanowiwszy sobie unikać spotkania, silnie wytrwała w przedsięwzięciu. Lecz Hanka żywsza, zawsze niby niechcąc biegła w tę stronę gdzie się spodziewała zetknąć z Grzesiem i bodaj krótkiem „dzień dobry” go pozdrowić. Gdy zaś siostra jej perswadowała:

— Niech go choć raz jeszcze obaczę—odpowiadała tonąc we łzach.

— Gdzież go obaczysz siostrzyczko?!.. nie inaczej tylko z domu wyruszają, trudno nam iść

do nich, stać się pośmiewiskiem całej wsi, dostać się na ludzkie języki.

— Moja droga Urszulko—nieśmiało wyszeptala Hanka — Grześ którego spotkałam wypadkiem idąc do krów, zaklinał mię na wszystko, żebyśmy przyszły pod dęba skoro u nas światła pogasną i Stach biedny pragnie cię pożegnać po raz ostatni... Może już ich nigdy nie obaczymy, idą na wojnę — zakończyła zanosząc się od płaczu.

— Moja siostrzyczko, bądź rozsądna i pamiętaj na ostatnią radę ojca, która dla córki winna być rozkazem; pewnie zaś i ksiądz stryj to samo ci powiedział na spowiedzi, co i mnie—przekładała Urszula z powagą, ledwie mogąc ukryć żal, który i ją srodze dojmował.

— Toć dotąd byłyśmy im posłuszne, lecz teraz pewna jestem, że ani ksiądz stryj nie broniliby nam przeżegnać świętym obrazkiem idących na wojnę!..—zmiękczała Hanka surowość siostry.

Serce nie kamień—niezłomna dotąd Urszulka dała się skusić lekkomyślnej siostrze.

Skoro we dworku światła pogasły, na małą godzinkę przed północą, bliźniętka lekliwie przekradały się pod dęba. Polanki tej nigdy nie widziały po nocy i kiedy tam stanęły, pełny księżyc wychylający się z poza wierzchołków lasu, smutne jakby stalowe światło rzucał na



całą tę przestrzeń. Aż zadrżały obie doznając wrażeń, jakby wchodziły do świątyni kirem żałoby osłoniętej. Zdala obok zwałonego dębu, dostrzegły niespokojnie przechadzających się Orlików, którzy naglądali pilnie w tę stronę, z kąd siostry nadejść miały. Tuż o parę kroków cztery konie osiodlane uwiązane były do drzewa.

Rączym skokiem bliźniątka stanęły przy chłopcach. Wszakże nie zawiązała się od razu ożywiona rozmowa, jakby się należało spodziewać, jeno zapanowało przydłuższe milczenie, które zazwyczaj bywa wyrazem prawdziwego, głęboko uczutego smutku. Po pewnej chwili dopiero głośne łkanie Hanki przerwało ciszę:

— Ach! Grzesiu — wołała we łzach—ja tego rozstania nie przeżyję... o jakież to straszne słowo „na zawszel“...

— Skoro tak straszne, to lepiej się nie rozstawać—wyrzekł Stach ponuro.

— Niestety Stachu, sam wiesz, że tak być nie może — odparła Urszulka tłumiąc ciężkie westchnienie.

— Czemu nie może?.. nie łatwiejszego—wyrzekł Stach stanowczo, ukazując zawiniątko złożone na dębie—tu są suknie męskie na was już gotowe, wdziecież je tam za krzakiem, konie czekają i... w drogę!...

— Że też Stachu w tak smutnym momencie

rozstania, niewczesne się ciebie żarty trzymają?—  
wtrąciła Urszulka z wymówką.

— To nie żarty, a prawda, która się spełnić musi.

— Nie rozumiem cię?

— Nie rozumiesz, że twój pan ojciec chciał nas na dudków wystrychnąć, mieć z nas wszelką posługę, strzelców, dojeżdźaczy, za to pozwalał wam szczerzeć do nas ząbki, zabawiać się w affekta, czyli ukazywał nam gruszki na wierzbie, aż się zjawią magnaci, żeby nas z kwitkiem puścić!—wygrazając ręką w powietrzu prawili drwiąco Stach. — O, nie panie poruczniku. nie z tego, my tacy dobrzy Glinkowie jak i waszmość, w kaszę sobie dmuchać nie damy!..

— Bóg z tobą Stachu, czyliś podpił sobie na odjezdnie, lub zmysły postradał?.. Bo już tego nie myślisz na serjo, abyśmy kryjomo opuszczały dom ojcowski?..

— Czekaj mościa panno—przerwał jej Stach mieszając ironię z rozkazem—tak się stać musi. Wszakże od was samych będzie zależało, abyśmy nie użyli przemocy i wstyd wasz uszanowali!.. Ztąd o mil kilka znajdziemy księdza, który nam da ślub... następnie pan porucznik, robiący z gęby cholewę, da się przebłagać i wszystko pójdzie gładko... imć panów zaś starościców odeszlemy po konsolację do młodszych sióstr jak

ojciec nas, lub na cztery wiatry, jeżeli im się tak lepiej spodoba.

— Stachu opamiętaj się!..—przerwała zatrwożona Urszulka.

— Urszulko moja jedyna!..—prawił Stach zmieniając nagle ton na sentymentalny—ja cię miłuję nad życie, które bez ciebie nic dla mnie nie waży, wydarłbym cię nie tylko z rąk starościca ale samego szatana... Nie wahaj się dłużej, bądź moją, ja cię już ztąd nie puszczę.

— Hanko... uchodźmy!.. bo tu nas hańba czeka—zawołała z trwogą chwytając rękę siostry.

Stach im zastąpił drogę.

— Nie kuście się napróżno o ucieczkę, bo z tej nic nie będzie. Jam sobie poprzysiągł, że cię pochwycę, a skoro już będziesz moją czyn ten opłacę miłością bez granic, odpokutuję u nóg twoich moja jedyna!..

Urszulka ściskając konwulsyjnie rękę siostry coraz się usuwała.

— Oto wóz i przewóz — mówił Stach zimno z determinacją—albo się przebierzcie w te suknie, co wam podróż wierzchem ułatwi... albo w przeciwnym razie to i tak pojedziecie z nami!.. Jak mi Bóg miły ztąd was nie wypuszcę, bo człek raz w życiu trzyma szczęście w rękul..

Zakończył z zapalem i chciał objąć w pól Urszulkę, lecz ta jak rączka sarenka wywinęła się, a pochwyciwszy jeden z karabinków opar-

tych o dęba, odwiodła kurek i cofnąwszy się o parę kroków naprzeciw Stacha stanęła. Księżyc w tejże chwili wysunął się na pełny firmament i zdawał się walczyć napróżno swoim światłem z blaskiem roziskrzonych gniewem oczu Urszulki.

— Ha! imć pani starościcowo—zaśmiał się szydycz Stach—więc to były tylko zalecanki na zimno, a przekładasz swego djamentowego starościca nademnie chudopachołka, teraz będziesz moja!.. Jak Bóg na niebie, nie wypuszczę cię ztąd!..

— Stachu opamiętaj się!—perswadował Grześ chwytając brata za rękę, lecz ten go tak gwałtownie odtrącił, iż Grześ potoczył się o kilka kroków.

— Siadajcie na koń i odjedźcie precz — komenderowała głośno Urszulka jakby na czele wojska.

— „O mężna białogłowo Judyt wojująca“... zanucił szydycz na ton godzinek Stach—ale poczekaj będziesz ty zaraz — „Abizail mężnego Dawida grzejąca“... i ja zostanę tym szczęśliwym Dawidem.

Wymówiwszy to przysuwał się do Urszulki, która zawsze mierząc z karabinka cofała się.

Jeżeli jeszcze o krok się posuniesz, to przysięgam na Boga że strzelę—rzekła gromko i stanowczo.

— Czy w oko jak tej dzikiej świni, która chciała spożyć twego najmilszego gagatka? — wtrącił Stach z rosnącym szyderstwem.

— Nie, w lewe ramię, aby cię nie czynić całkiem kaleką, a bądź pewny, że i przy księżycu nie chybię—wypowiedziała ze stanowczym spokojem.

— O moja śliczna gołąbko! jakże ci przystojnie z tym rycerskim animuszem, dalibóg nie wytrzymam, a uściskam cię setnie.

Wypowiadał Stach z zapalem posuwając się ku Urszulce; lecz w miarę tego ona się cofała; a jednym skokiem oddaliwszy się o kilka kroków nagle stanęła.

— Stachu!—zawołała stanowczym głosem—nie doprowadzaj mię do smutnej ostateczności, bo jak Boga mojego pragnę, doliczywszy do trzech wypalę...

— Cel, pall.—przerwał Stach z szyderczym śmiechem, ciągle się posuwając.

— Raz, dwa, — liczyła dziewczyna cofając się i mierząc.

— Dość tej zabawki, bo do rana nie skończymy, a czas w drogę — wyrzekł Stach, z determinacją przeskakując kilka kroków.

— „Trzy!..” — drżącym głosem zawołała Urszulka.

W tejże chwili padł strzał

Stach rzucił się zapamiętale na Urszulkę, wołając ze wściekłością:

— O przekłeta jaszczurko!..

Lecz w jednej chwili srogi ból przerwał mu groźby, które w jęk się zmieniły. Zachwiałszy się potoczył, Grześ chwycił brata w ramiona. Cała ta scena rozegrała się w dziesięćkroć mniejszym czasie niżli go zużyliśmy na opisanie. Zaraz po strzale, Urszulka rzuciwszy broń, chwyciła rękę prawie nieprzytomnej siostry i ciągnąc ją za sobą, biegła co tchu ku domowi, dokąd wrócili równie niepostrzeżone.

Skoro przeminęły pierwsze, gorętsze trwogi dręczyła je obawa, iż wszystko na jaw wyjdzie. Dopiero nad ranem uspokoiły się wieścią, rozsianą po wsi przez Grzesia—iż Stach w drodze poprawiając na sobie nieostroźnie karabinek przestrelił sobie rękę. Że prawdopodobieństwo tej wersji zasługiwało na wiarę, nikt o tem nie wątpił, bo w istocie nie przypuszczali aby ktoś czychał na życie lub całość braci Orlików. Mieszkańcom zaś cichej wioski nie pomieściłaby się w głowie podobnie sentymentalna—dramatyczna przygoda.

W ten sposób ostatnia schadzka bliźniątek z Orlikami była tajemnicą dla wszystkich. Znał ją zapewne jeden O. Honorat, przed którym dziewczęta nic nie miały tajnego i nazajutrz gdy

znów splakane odchodziły od jego konfesjonału, Urszulka powiadała do siostry:

— Dla Stacha czuję komizerację jako bliźniego i szczerze żałuję iż mię zmusił do tej ostateczności we własnej naszej obronie. Lecz niezawodnie wszelki inny affekt do niego straciłam na zawsze.

— Pewna jestem iż Grześ z własnego popędu nie dopuściłby się tego gwałtu, bo on poczciwszy—rzekła smutno Hanka.

I to było wspomnieniem niejako pośmiertnem niegdyś gorącego uczucia.

W parę dni za powrotem do domu, zmartwił się porucznik smutną przygodą Orlików. O ile mu czas gorący przygotowań weselnych dozwalał, san: troskliwie doglądał chorego.

---

## XI.

Minęło kilka tygodni i termin podwójnych zaślubin się zbliżał. Na parę dni przed solennym terminem ściągnęli starościcowie z matką i licznym dworem, tak iż szczupły domek porucznika, po uprzątnięciu lamusów, stodół, spichrzów i wszystkiego co było pod strzechą, zaledwie licznych gości mógł pomieścić jako tako — nie mówiąc już o wygodzie, na którą dawniejsi ludzie mniej byli wymagającymi.

Przez ten czas Stach Orlik znacznie już wydo-

brzał: chociaż rana była głęboka, jednak że kula nie naruszyła arterji i stawów, po wyjęciu jej przez prostego cyrulika, młodość i twarda natura pacjenta reszty dokonała. Władza tylko w rękę wracała powoli i chociaż ruchy pewne mógł nią dokonywać, jednak nosił ją jeszcze na temblaku Czego wszakże chory nie mógł odzyskać, były to spokój i swoboda umysłu, ciągle był ponury i zamyślony, a jeżeli brat przez zabiegi i starania gorliwe, zdołał zeń słówko wyciągnąć, takowe było narzekaniem i przekleństwem.

— Przyznaj sam bracie — perswadował mu Grześ—iż podrwiliśmy sprawę, było to bowiem do przewidzenia, że dziewczęta dobrowolnie się nie zgodzą iść z nami, sam cię o tem uprzedzałem. Za wielkie to wymaganie aby gwałtownie opuszczały dom ojca, ściągnęły na siebie jego przekleństwo, przyniosły hańbę imieniowi, szkodę młodszym siostram, to jakoś ani po bożemu, ani po ludzku.

— Baba z ciebie! — odburknął opryskliwie Stach—ja muszę dostać tej podwiki, którą o ile wprzód miłowałem, tyle teraz nienawidzę, muszę ją sponiewierać, musi być jawnie moją kochanką... Cóż to za hańba dla szlachcica, idącego na pierwszą wyprawę, otrzymać ranę z rąk bab-skich, tego jej póki żyw nie przebaczę, muszę pomścić!

— Najprzód bracie, mogłeś się przekonać



z mowy odwiedzających cię iż żywa dusza niezna prawdziwego powodu tej rany—uspakajał Grześ.

— Co mi tam czy kto wie—przerwał z oburzeniem Stach—dość że ja wiem i hańby tej nie przelknę, a muszę ją wyplwać w zemście na niej i na tym jej pudlu narzeczonym!

W czymże ona przed tobą zawiniła, chyba że była posłuszną woli ojca i nie shańbiła się ucieczką? — Ja sam bym w ostatecznym razie sprzeciwił się temu, gdyby na gwałt się zaniośło, lecz wszystko spełniło się obcesowo, nim zdołałem słowo wtrącić.

— Ciemięga jesteś—przerwał Stach zapalając się—ja myślałem że jako zdrow, dotąd już gdzieś daleko oprzesz się z Hanką, a ty takie masło maślane, ślęczysz tu przy mnie niepotrzebnie, kiedy sam bez ciebie przyszedłbym do zdrowia.. Skoro pozdrowieję bądź pewny że nie dopuszczę zaślubin tej jaszczurki, wysiekę, wybije, spałę!—zakończył pieniać się ze złości.

— Bóg z tobą bracie, ja nie pojmuję takiego affektu, który się przeradza w nieszlachetne uczucia gwałtu i zemsty..

— A jakież ty smarkaty affekt pojmujesz?—wybuchnął Stach gniewnie.

— Miłować całe życie dla niej samej...

— I widzieć ją w uściskach głupiego starościca!—zakończył Stach pogardliwie.

— Ot wiesz co bracie — mitygował Grześ —

siła ci w ręku z każdym dniem powraca, reszty dokonają ruch i świeże powietrze, ja zaś dwiema silnymi dłońmi będę za ciebie pracował, czasby nam wyruszyć do obozu.

— Idź sobie sam, ja kaleka do wojaczki nie zdatny—zbywał go Stach obojętnie.

Często się powtarzały podobne pomiędzy braćmi rozmowy: Stach nalegał na Grzesia aby sam wyruszał, widocznie chcąc się go pozbyć. Łagodny Grześ uzbrojony w cierpliwość, wyczekiwał z rezygnacją; jakoż w sam dzień przybycia starościców na weselne gody, zdziwił się wchodząc do izby i zastając brata, który jedną zdrową ręką broń opatrywał i energicznie gotował się do wyprawy.

— Ano Grześ, czas na wyprawę—ozwał się rażno.

— I owszem, choćby zaraz—rzekł Grześ uradowany tą niespodzianą zmianą — chociażby zaraz wyruszajmy, jakoż wielki czas, bo powiadają udzie; że wojna lada dzień się zacznie; że zaś ty biedaku, jeszcze dotąd o jednym ręku, więc odpoczywaj sobie, a ja się zajmę przygotowaniem.

— Nie ma się co bardzo gotować, bo wyprawa niedaleka—odparł Stach ponuro.

— Zaprawdę że do obozu niedaleko, ale kto tam wie dokąd wojna może zaprowadzić?..

— Głupiś z twoją wojną... czy nie rozumiesz że to wyprawa na Sołtyków?

— Bóg z tobą bracie! — zawołał przerażony Stach.

— Czy Bóg czy szatan to mi wszystko jedno, ale to wiem iż pókim żyw z tego wesela płacz komuś zrobię!

— Opamiętaj się bracie, co zamysłasz?

— Już to obmyślane, że muszę dostać jej i jego, jeżeli nie żywych, to przynajmniej ich trupy, a tobie oddam twoją Hanę, gruchajcie sobie w pokoju... mnie trzeba zemsty! — Co tam długo gadać, my się od dzieciństwa nie rozłączamy, a jam starszy, więc rozkazuję: gotuj się i kwita! — Do wieczora skombinuję jak sobie mamy poczynać.

Grześ zamilkł jakby oniemiał z przestachu. Stach poczytując rzecz całą za postanowioną, zajął się czynnie opatrywaniem broni.

— Powiedz sam bracie — przerwał milczenie — czyli możemy inaczej poczynać, czylibyś chciał oddać Hanę innemu? Powiedz co byś zrobił na mojem miejscu?

— Bracie ozwał się Grześ łagodnie — wracam z kościoła, wysłuchałem mszy na intencję nowożeńców...

— To idźże jeszcze zaśpiewać im *Veni creator* kiedy ci się spodoba, a ja sam pójdę — przerwał Stach kipiąc gniewem.

— Pójdiesz—zawołał z mocą Grześ pozbywając się dotychczasowej apatii—pójdiesz aby okryć poczciwe imię hańbą, aby cię pojmano jako złoczyńcę i gardło wzięto. Sołtykowie przybyli w licznym orszaku, mają ze sobą kupkę szlachty i ze 30 zbrojnych kozaków, pochwycają cię nim do kogo przystąpisz. Nie bracie, ty nie pójdiesz.

— A ktoż mi zabroni?—spytał Stach szyderczo.

— Ja!.. odparł Grześ z mocą.

— Ty niezdaro, modlący się na intencję tej która cię zdradza?..

— Jak jest to jest, ale przejdiesz chyba do dworku porucznika po moim trupie.

— Jakiem prawem ty mnie starszemu dajesz admonicję?

— Jako człowiek przy zdrowych zmysłach kieruje utracającym rozum—odparł Grześ z determinacją.

— A jeżeli cię zabiję?

— To i owszem bo mi życie niemiłe. Zresztą nie będziesz za to odpowiadał przed prawem, bo ja krzyżeć i bronić się nie będę. Ludzie zaś znając nas dotąd zgodnymi, przypiszą to wypadkowi i za bratobójstwo nie będą cię karali.

Widok zaś mojego trupa rozbroi cię i powstrzyma w zamyśle tej zbrodni napadu i gwałtu.

Wymówił to Grześ z taką stanowczością, iż

Stach nie znajdując na nią repliki, sapał gniewny i przemierzał gorączkowym krokiem szczupłą izdebkę. Znów zapanowało dłuższe milczenie, które Stach przerwał:

— Prawda twoja bracie — mówił smutnie — iż *vana sine viribus ira* (próżny gniew bezsilnego), ale i to prawda „co się przewlecze to nie uciecze” dostanę cię jeszcze w moje ręce pani starościcowo zwinogrodzka, a wtedy pomówimy!.. Ano Grzesiu gotaj się, dziś wyruszamy do obozu!

Zbytecznem byłoby powiadać jako Grześ wszystkie przygotowania do wyprawy przyśpieszał. Z nastaniem nocy bracia Orlikowie wyruszyli w drogę. Pochód to był nie wesoły, gdyż obaj pozostawiali za sobą młodzieńcze aspiracje i afekt zawiedziony.

— Hej bracie! — ozwał się Stach, smutno potrząsając głową — czy to tak jeżdżą młodzi na pierwszą wojnę, my raczej do grabarzy niż do rycerzy podobni? — Ot, co sprawiły te płoche, niegodziwe podwiki, ale Bóg da, że się w moje ręce kiedyś ona dostanie!

— Nie bluźnij bracie, nie wzywaj chrześcijańskiego Boga do zemsty, która jest dziełem pogańskim.

Nie ujechali Orlikowie i połowy drogi do obozu o dziesięć mil oddalonego, kiedy we dworuku porucznika z nastaniem brzasku dziennego rozpoczynano gody weselne. Wesele zeszlowiecz-

nel.. toż by się zdawał bogaty materiał opisowy. Lecz jako żywo, tu działo się inaczej i niezawodnie zgorszyliby się dawni ludzie na tę powagę i ponurość tutejszych godów, których nawet swat kasztelan nie ożywił „zalaniem sprawy“.. gdyż nieborak pan Bereyko mortyfikował się na łożu boleści w pierwszym ataku podagry, prawdopodobnie będącej następstwem owego „zalewania“... Wszakże cichość ta godów posiadała ważne swe racje: już to najprzód czas mającej się rychło rozpocząć wojny, na którą sami panowie młodzi, spędziwszy już nie miesiąc ale tydzień tylko miodowy z młodemi małżonkami, udać się zamierzali.

A więc tedy przy prymarji, ojciec Honorat pobłogosławił związek obu par. Poczem nastąpiła skromna uczta—i jeszcze dobrze przed południem, zatoczyły się kolasy i kolebki państwa młodych i basztarda chorążyny. Porucznik siadł na koń na czele orszaku glińskiej szlachty — wszyscy przeżegnani krzyżem i pokropieni wodą święconą przez ojca Honorata wyruszyli, każdy w swoją drogę. .

Dworek porucznika stanął pustką.

---

## XII.

Znaną jest w dziejach naszych krótka lecz zażarta wojna roku 1792. Wszakże kreśląc tu

mały „obrazek z natury”, ale nie powieść historyczną, nie wdam się w jej szczegółowy opis, a zaznaczę to tylko co dotyczy naszych bohaterów, zgromadzonych jak wiemy, w jednym obozie.

Porucznik Glinka, jako dawny wypróbowany żołnierz, miał sobie powierzoną komendę osobnej kompanji, z posunięciem do rangi majora—rangi bowiem, tego czasu wojennego, przy braku uzdolnionych oficerów, snadno się zdobywały. W jego oddziale pomieściła się szlachta glińska, oraz inna zacieężna, tudzież jego zięciowie Sołtykowie w stopniu subalternów oficerów, który wprawdzie jako magnatom dostał im się przez poczt sowity, ale nie przez osobiste zasługi. Wszakże teraz po odbyciu tygodnia miodowego z młodemi małżonkami, stawić się nie omieszkali na terminie przy chorągwi.

Orlikowie, jak nam wiadomo, poszli przodem. Grześ silniejszy o całe jedno ramię i spokojny umysł, odzyskał nad Stachem prawa starszeństwa! On rządził całą wyprawą i skoro już stanęli na miejscu dopytał się o rozmaite kompanje, ażeby czasem na komendę stryja nie trafić, a przy nim i na starościców; obawiał się bowiem tego zbliżenia, bacząc na kipiącą zemstę w duszy brata. Udało mu się zarejestrować do innej kompanji, kwaterującej o mil parę od komendy porucznika—czyli już teraz majora.

Obaj Orlikowie byli cennym nabytkiem dla wojska, bo odważni i wyćwiczeni w robieniu bronią, wszędzie szli na pierwszy ogień, z dziwną abnegacją, życiem nie ważąc. Obaj milczący, ponurego usposobienia, nie dzielili obozowej wesołości i zabaw czasu wytchnienia. Za to w ogniu pierwsi, ostatni schodzili z placu. Bili się jak desperaci, jak ludzie gardzący życiem. Stach nie odzyskawszy całkiem władzy w lewej ręce zwieszał ją zawsze na temblaku. Wszakże jednym ramieniem tak się dzielnie posługiwał — iż gdzie się *jednoreki* (tak go nazwano) ukazał, siał popłoch w nieprzyjacielskich szeregach, otuchę między swoich. Nad niego nie znano odważniejszego w obozie. Sam książe, wódz naczelny, z pomiędzy wielu go wyróżniał i po kilku pierwszych potyczkach szlifą oficerską dystyngował.

Pomimo bohaterskiej waleczności, wyszli bracia cało ze wszystkich dotąd zaciętych bitew, aż do ostatniej już prawie pod Dubienką, a zjadliwszej i krwawszej nad inne. Orlikowie swoim zwyczajem, nie zeszli do końca z pola i już po skończonej bitwie, zapędzili się we dwóch za rejterującym nieprzyjacielem. Uchodzący żołnierz nie stawał już piersią w pierś; a cofając się tylko odstrzeliwał na chybił trafił. Kula na osłep puszczona przeszła mężne serce Grzesia. Zachwiał się raniony, Stach go pochwycił w ramiona; lecz on go chwycił konwulsyj-



nie za szyję, wyszeptał zaledwie dosłyszalnym zamierającym głosem:

— Bracie!.. na miłość Boga, na afekt braterski, zaklinam... poniechaj zemsty...

Już reszty nie domówił—i biedny Stach całkiem osierocony na ziemi pozostał.

Stało się już to po skończonej bitwie i wkrótce rozejm obustronny ogłoszono, dla uprzątnięcia rannych i grzebania poległych. Stach dostrzegłszy jakiegoś ciurę obozowego, który dla zdobycia łupu pierwszy się na pobojo-wisko podkra- dał, zabrał go do pomocy, aby gdzieś w ustro- niu dół dla brata wykopać i za jego pomocą drogie te zwłoki oddał ziemi, na której sam sie- rotą pozostawał. Nim złożył do mogiły drogie szczątki, wpił się długim pocałunkiem w sine usta zakrzepłe, a wznosząc ręce ku niebu z uro- czystą rozpaczą zawołał:

— Przysięgam ci drogi bracie na wszystko najświętsze, iż będziesz pomszczony!

Nim z pomocą ciury zasypali mogiłę, a jesz- cze Stach kazał mu swoim pałaszem krzyż jaki taki dla lepszej poznaki wystrugać, już się miało ku północy, Stach odchodził smutny, posepny, z ciężkim bólem w sercu, nie wiedząc dokąd dąży. Ciura szedł za nim przez puste pobojo- wisko, klnąc w duchu, że oficer zmusiwszy go do nieprzewidzianej roboty, pozbawił zarobku, gdyż go tymczasem kamraci uprzedzili: ranionych

uprzątnięto, a trupów odartych z cenniejszych przedmiotów, na pół nagich złożyło na kupkę do jutrzejszego pogrzebu. Szyldwach postawiony przy trupach, umknął ze strachu. Przecho-  
dząc około tej kupki zastanowił się ciura na do-  
latujące ztamtąd jęki, ciekawość go popchnęła  
w stronę z kąd jęk dochodził:

— Panie oficerze—ozwał się z respektem—  
jakby jegomość byli łaskawi, pomódcz mi dźwi-  
gnąć tego rannego.

— A co ci po nim?—odparł obojętnie Stach,

— Moźnaby grosz jakiś zarobić, a mnie bied-  
nemu zajętemu jegomością robotą, nie się dziś  
nie dostało, uprzedzili mię tamci ladaco—submi-  
tował się ciura.

— Z kąd że ci się co dostanie—pytał Stach.

— A to widzi jegomość ten co to jęczy mię-  
dzy trupami, jest bogaty pan staroście.

— Jaki staroście?

— Ano nasz staroście, bo ja starościński, ze  
Zwinogródki, starszy nasz panicz...

Stach mimowoli zadrzał na te słowa, ciura  
ciągnął dalej.

— Szukają go już cały dzień, myśleli, że się  
dostał do niewoli, nawet do tamtego obozu mieli  
już posłać parlamentarzy z wykupem, ale durnie  
prześlepili ranionego i między trupów złożyli...  
Biedne panisko ma w boku głęboką ranę, bez  
pomocy zamrze za jaką godzinę, gdyby to je-

gomość byli łaskawi, odrobinę mi dopomogli...

— Daj mi tam pokój, rękę mam chorą, a jeszcze ją zmordował przy kopaniu dołu — rzekł Stach tając radość, jaka go przejmowała.

— Ej! panie oficerze, toż tak niedaleko do namiotu chirurga, za jakie dwa pacierze dojdziemy, a ja biedny charłak zarobiłbym jakiś grosik dla żony i dzieciak, bo to dobry pan a nie skąpy.

— Niech ginie!.. to początek mojej zemsty, gdyż po bitwie nie prędko kto nadejdzie, sam ciura nie da rady, a tymczasem... — pomyślał Stach zacierając ręce z szatańską radością.

— Żebyście ino jegomość trocha głowę podtrzymali, ja całą wagą nóg się uczepię, a przy pomocy Bożej dodźwigamy, a może kto się po drodze nawinie... żal byłoby prawdziwie dać zginąć takiemu dobremu panu. Bóg miłosierny nagrodzi jegomości ten chrześcijański uczynek, boć to grzech pozostawiać człeka na widoczną zgubę—molestował ciura.

Stach pomyślał chwilę... a może mu żal w serce zawitał?

— Dobrze, spróbuję—rzekł po chwili.

Poczem ujawszy ranionego pod pachy, dopomagał ciurze do dźwigania ciężaru. Skoro uszli kęs drogi, a księżyc z poza chmur wychylony-oświecił twarz ranionego:

— Patrzajcie jegomość już oddech ma swo-

bodniejszy, oczy mu się otwierają—powiadał uradowany ciura.

Stach mimowoli spojrział w tę twarz bladą, nienawistną sobie i okropne myśli zakrążyły mu w głowie. Zazdrość żądłem gadziny bodła go w serce.

— On wyzdrowieje... Urszulka pięknymi ustami będzie całowała to blade oblicze, tulić się będzie do rozkosznego łona, odżywiać czystem technieniem — szeptał mu zły duch. A mój biedny Grześ w zimnej ziemi!..

— Widzicie jegomość—ozwał się ciura—tam na tym pagórku światelko, za jakie dobre pół pacierza doniesiemy, a da Bóg miłosierny panisko będzie żył, nasz chirurg mądry, to go odchucha, wiedząc że dobrze zapłaca.

— On będzie żył, a mój biedny Grześ idący przez nich na jawną śmierć, ziemię gryzie!..—zakłóło Stachowi w głębi serca.

Tuż, tuż dochodzili do obozu, już gwar i głosy zdala ich dolatywały, gdy wtem Stach wznosząc wyżej ranionego, rozstawił gwałtownie ręce i głowa z głuchym łoskotem padła na ziemię.

— Oj!—zajęczał Stach chwytając się za rękę—widzisz coś narobił biorąc mię za pomocnika, nagle mi się rana otworzyła i ręce omdlały—mówił do ciury, wewnątrz zaś coś mu się szatańsko uśmiechnęło.

— O dobry Jezu!—lamentował ciura chwy-

ciwszy się za głowę—Boże odpuść zgubiłem duszę ludzką i cały mój zarobek przepadł!.. Trzebaż mi było słuchać jegomości, a nie dufając waszej chorej ręce, pobiedz do obozu po silniejszą pomoc... Niechże tu jegomość z łaski postoją momencik przy ranionym, a chowaj Boże może już i nieboszczyku, ja skoczę do obozu po ludzi i nosze.

Ciura pobiegł.

Stał długo Orlik nad ranionym szarpany sprzecznemi uczuciami, aż widząc zbliżającą się kupę ludzi ze światłem ukrył się po za drzewami. Między przybywającymi, znajdował się chirurg wojskowy, który przychyliwszy się nad ranionym po zbadaniu, zwrócił się do kupki wyczekującej z niepokojem wyroku:

— Już nie żyje—wyrzekł z obojętnością, cechującą lekarzy wśród bitew.

Brat zmarłego z jękiem bóleści rzucił się na ciało

— Biedna Urszulka—wyrzekł z westchnieniem major.

— A mój brat?—szepnął Staeb zgrzytając zębami.—Otóż tobie gody mościa starościcowo!

---

#### XIV.

### **Ostatni Zajazd.**

Czas wielki zajrzeć do świeżo uwiniętego, gniazdkka hymenu. Ów tydzień miodowy, u boku nadobnych małżonek, minął starościcom jak błę-

skawica; niezawodnie chętnieby go przedłużyli, lecz że obaj liczyli się w chorągwi trzeba było pośpieszać pod groźbą infamii, wojna bowiem lada dzień rozpocząć się miała. Dworno jako magnaci wybrali się do obozu, z luzakami, jucz-nemi końmi, na czele kompanijki uboższej szlachty, którą sami sztyftowali własnym sumptem.

Pomimo nazbyt krótkiego pożycia, rozstanie małżonków było czułe, rzewne niemal — bowiem młodym mężatkom mimo nie zabliznionych ran miłosnych przez Orlików zadanych, uśmiechnęło się mile to nowe nieznanne życie, otoczone powa-bami dobrobytu i zbytku.

Urszulka zresztą zrażona gwałtownem postą-pieniem Stacha, które ją zmusiło do tragicznego oporu, uczuwszy doń rankor nieprzejednany, suadno przylgnęła do młodego małżonka, ceniącego w niej nietylko miłą towarzyszkę, ale i wybaw-czynię życia z ciężkich terminów, a ujęta jego gorącym sentymentem, zapomniała o dawnych dziecinnych miłostkach.

Hanka tkliwszej natury, może podczas coś marzyła jak we mgle o Grzesiu, oddając mu sprawiedliwość iż on do gwałtów brata czynnej ręki nie przyłożył.

Atoli dawny stosunek sióstr z Orlikami wstąpił w fazę choroby młodości, po której przebyciu zdrowie mocniejsze powraca.

Zaprawdę do onej miłości dziewiczej naj-

lepiej się stosuje przysłowie — „co z oczu to z myśli” inaczej nie byłoby szczęścia i jedności w małżeńskich stadłach; któraż to bowiem dziewczyna opierzywszy się nieco, nie goni za jakimś ideałem, tak snadno zacierającym się w przyszłości poczuciem i spełnieniem wielkiego zadania małżeństwa?—Tak i tu się stało i gdyby młode mężatki nie pojmowały jako szlachcianki honorowego obowiązku, który starościców wyrывał od hymenowych słodyczy, siłą uścisków zatrzymałyby młodych małżonków przy sobie. Atoli ulegając konieczności, spłakały się rzewnie przy rozstaniu i tyle.

Starościcowe pozostawszy na zamku ze świekrą ujrzały, iż jeżeli co się zmieniło dotąd w ich położeniu, to chyba na lepsze. Wszystkie sześć sióstr znajdowały się w komplecie z ciotką chorążyną, która nie posiadała się z radości, iż powróciła do dawnego pałacowego życia, do którego wzdychała. Jeżeli czuły tęsknotę za ojcem to sobie mogły wyperswadować, że tak czy owak on stary żołnierz, nie osiedziałyby się doma, czasu wojennego. Żal zaś po miejscu rodzinnem służyć sobie mogły tem, iż z ciasnego zapadłego dworku weszły do obszernego zamku i olśniły się nieznanym sobie dotąd przepychem i blaskiem bogactwa, które nie mało próżności białogłowskiej schlebiają.

Starostwo zwinogrodzkie było jedno z donio-

ślejszych, bo w żyznej Ukrainńskiej glebie liczyło 29 wsi i 2 miasteczka, jedno z tych Kalneblota, stanowiące rezydencję starostów, posiadało zamek obszerny drewniany, obwarowany fossą i palisadami: zamczysko wprawdzie stare, za ponure może na zewnątrz; ale zato wewnątrz opatrzone we wszelki sprzęt wygodny, nawet zbyt kowny, który teraz z okazji podwójnych zaślubin zwiększono i odświeżono. A zresztą rozweselał tę miejscowość piękny obszerny wirydarz, przecięty dwoma acz niewielkimi, ale bystremi rzeczulkami, Kalnobłotką i Tykieczem. Nadto dwór liczny, krom przeróżnej służby, mieszczący wielu rezydentów i rezydentek; gwarno tam zawsze i szumno bywało.

Największą wszakże pociechą w osamotnieniu młodych małżonek, była świekra, pani starościna, która mimo lat podeszłych, zachowała słodycz charakteru i żywość młodzieńczą. Polubiwszy serdecznie obie synowe stała się ich towarzyszką, a nie szczędziła starań i zabiegów aby im życie uprzyjemnić. Lubo starała się nie czynić między siostrami różnicy, jednak bardziej ją serce pociągało do Urszulki, jako wybawczyni jej syna faworyta, z narażeniem własnego życia. Znając gust bliźniątek do łowów, nietylko jak się spodziewała światowa dama chorążyna, nie hamowała w nich tej passji, ale owszem podsycala ją, zwiększyła i bez tego liczne myślistwo nie-



boszczyka starosty, obdarowała synowe doskonałą bronią i wykwintnemi męskimi strojami, toż i młodsze siostry, jak własne córki miłowała.

Wcale nie mortyfikowały się bez mężów bliźniątka; bo chociaż zanosło się na wojnę zaciętą i kto żyw a silny za broń chwycił, jednak pozostały w okolicy białogłowy, ludzie starzy lub do wojowania nie zdolni i zamek roił się gośćmi bez ustanku, tak że na tęsknotę do małżonków nie wiele pozostawało czasu. Wszakże chciwie chwymano wieści z pola bitwy, radowano się sławą zwycięzkiego oręża, niekiedy i zasumowano się niepowodzeniem, słowem jak mogli słodzili oczekiwanie nieobecnych.

Tymczasem trzeci miesiąc się począł słomianego wdowieństwa bliźniątek, a żadna wieść pewniejsza z pola bitwy nie nadchodziła. Nieregularne ówczesne poczty, a do tego kraj ten cały nieprzyjacielskiem wojskiem zajęty, szerzeniu pewnych wieści przeszkadzały Świekra tedy z synowemi cieszyła jak mogła trwożliwą niepewność, kiedy w trzecim miesiącu gruchnęła pogłoska, o odwołaniu wojsk do Warszawy i o dłuższym rozejmie. Z większym więc niepokojem i niecierpliwością, wyczekiwały powrotu swoich, który nadto się zatrważająco przewlekał.

W trakcie tego nowy niespodziany frasunek spadł na osamotnione niewiasty: Imép. General artylerji koronnej Szczęsny Potocki zapozwał

panią starościnię Sołtykową, aby na mocy jakiegoś przedawnionego wyroku, jeszcze niegdy przez ojca generała wojewodę kijowskiego uzyskanego, ustąpiła z Kalnychbłot i takowe razem kilkoma przyległemi wsiami w jego posiadanie do państwa Humańskiego oddała. Sprawa to była nie legalna i już przez samą preskrypcję umorzona, gdyż jeszcze przed dwudziestu laty, za życia starosty Sołtyka, wojewoda kijowski one wsie przez zajazd zajął, a później za dekretem sejmowym zwrócić musiał; \*) teraz zaś syn jego żądał od starościny wdowy exmissji, w razie zaś oporu groził, że nowym zajazdem prawa swoje popierać będzie.

Zda się obawiać nie było czego, gdyż sprawa sama przez się upadała, gdyby antagonistą był jakiś *prosty smiertelnik*, ale nie taki potentat, jak wówczas Potocki, posiadający milicję, której trzykroć liczniejsza załoga niż starościńska oprzećby się nie mogła. Powtóre działo się to w trakcie zawiązania konfederacji Targowickiej, kiedy pan Szczęsny jako jej marszałek niemal całą władzę kraju miał w swoim ręku. Nie chodziło tu wprawdzie Potockiemu o zagarnięcie ziemi, albowiem sam jej tyle posiadał, że połowa odłogiem leżała. Lecz wydając pozwy rozmaite, chciał przez to zmusić szlachtę

---

\*) Z dawnych akt województwa Braclawskiego.

aby do tej konfederacji przystępowała i kto tylko akces czynił, natychmiast mu sprawę umarzano na zawsze, a jeszcze z pańskiej szkatuły, bez wyroku sądowego, jeżeli żądał dostał grzywny i nawiązkę. Toż i starościnnie wydając pozwy kazał podszeptać przez swych adherentów, iż jeżeli się zobowiąże solenną obietnicą, jako jej synowie akces do konfederacji uczynią natychmiast sprawę umorzy.

Wiedziała o tem starościna że szlachta stateczniejsza do tej konfederacji nie lgnęła i za synów zobowiązać się nie chciała. Lecz z drugiej strony tajem jej nie było że groził jej zajazd, ruina majątku, a może śmierć dla niej i synowych; bowiem z tą przemocą żartów nie było.

Doradcą w ciężkich terminach i orędownikiem wdowy, był jej krewny pułkownik Temberski dzielnego animuszu wojak, który i tem się wslawił, że czasu strasznej rzezi humańskiej, zamek Białocerkiewski przed napadem hajdamaków dzielnie obronił — i niezawodnie on jeden na całej Ukrainie oparł się tej zajadłej tłuszczy. Chociaż wiekiem nieco przytłoczony, jednak jeszcze dziarski staruszek, pośpieszył na wezwanie krewnej. Skoro mu wynurzyła wdowa swoje ciężkie opaly:

— Jak że waszmość radzisz panie bracie — pytała — azali mam uczynić deklarację za synów, że za powrotem da Bóg szczęśliwie z wojny, akces do tej tam konfederacji uczynią, lub...

— Niech Bóg zachowa pani siostró!—przerwał rubasznie stary wojak — raz kozie śmierć jak to mówią; bo widzisz aśćka, uczyniwszy akces do tego paskudztwa, to śmierć cywilna dobrej sławy, a imienia. Co prawda zaś, wystąpić przeciwko tej sile to śmierć zwyczajna ludzka, że z tej drugiej trąba archanielska wskrzesi na sąd ostateczny, a z tamtej trzeciej i dziesiąte się pokolenie nie podniesie, ergo wolę tę zwyczajną niż oną kontfederacką.. Ale czekaj jejmość *nihil desperandum*, a nim co się obmyśli pozwól mi objąć tu komendę...

— Ach bracie dobrodzieju!—przerwała wdowa ze złożonemi rękoma jak do modlitwy—prosiłam Boga, aby waszmości tą myślą natchnął i poddaje się, a moja wdzięczność...

— Potem o tem mościu dobrodziejko, a teraz niech mi tu zawołają starego Iwana, muszę z nim pokonferować.

Stawił się stary Iwan, a był to od półwieka prawie ataman starościńskich kozaków. Mimo siwizny rzeźwy jeszcze i silny, a w zawiedłem obliczu i sumiastym wąsie przewijały się naprzemian determinacja i przebiegłość.

— Jak się miewasz stary?—powitał go uprzejmie pan Temberski.

— *Sławyty Boha bad'ku polkownyku*—odparł kozak z pokłonem głębokim, wszakże nie znamionującym służalstwa.

— Słyszałeś że pan Potocki na nas się odgraża?

— *Czy to takich my z wamy baczyły, bad'ku* — rzekł kozak pogardliwie machając ręką.

— Więc myślisz że się obronimy?

— *Ce wże jak Boh daś* (to już jak Bóg da) ale za piec się nie schowamy.

— A iluż mógłbyś zebrać celnych strzelców?..

Kozak zamyślił się, spoglądał do góry, kręcił palcami.

— Będzie ze trzydziestu sześciu — odpowiedział.

— Hm, niewiele wprawdzie, ale jest już o co ręce zaczepić... Ano!.. jakże myślisz stary, jak sobie poradzimy?

— Najprzód bad'ku dla bezpieczeństwa i spokoju, myślałbym żeby *maty* starościna z *newistkami*, ta i z całą babską czeredą wyjechały, bo to niekobieca sprawa bitwa, a tu się nadobre zaniesie—prawił ataman.

— Toś się zbajał synkul..—prawił pułkownik uśmiechnięty—Dokąd że pojedą kiedy kraj cały jak w ogniu, trapią go naprzemian wojska nieprzyjacielskie i nie lepsze od nich konfederackie? Zatem skoro się podwici na krok ruszą zaraz ich jedni lub drudzy w jassyr pojmagą. My im zaś konwoju dać nie możemy, bo sam powiedz, coż od szczupłej załogi oderwać?

— Prawda wasza bad'ku—odparł pokornie ataman.

— To jedna prawda synku, a ja ci powiem drugą: że polując nieraz ze starościcowemi i jej siostrami, przekonałem się, że w razie czego nas starych przestrelają, a białogłowy to są męzkiego animuszu... A nie bez tego, żeby się tu coś nie zebrało szlachty ku obronie zamku, bo już wojna skończona i do domów wracają—ci zaś bądź pewien raźniej pójdą za tamtymi białemi głowami niż za naszymi — zakończył Temberski żartobliwie, wskazując na siwe czupryny: swoją i kozaka.

— Nie ma co mówić bad'ku — kiwał stary ataman skonwinkowaną głową.

— Czekaj-no stary, pani starościna powierzyła mi tu komendę, trzeba pomyśleć nam, żeby sprawę niepodrwić.

— *Koły pry was bad'ku, to wże panu Potoćkomu bude ne z medom!* (kiedy przy was ojciec to panu Potockiemu będzie nie z miodem) — wyrzekł kozak prostując się.

— Czekaj-no synku, nie składajmy rąk, trzeba działać: pozew zapowiada egzekucję do dwóch niedziel, a więc w jedenaście dni mamy być na wszystko gotowi: najprzód tedy zwołać tu gromady ze wszystkich wiosek, powiadając, że dziewczka prosi na poczęstne. Powiesz komu należy ażeby zabito parę wolów i kilkanaście baranów

Napiec chleba, palanie, \*) knyszów, pierogów, ile piece pomieszczą. Klucze od piwnic weźmiesz do siebie... tylkoż żeby się znów bardzo nie zapijali; wygoda aby była i częstunek suty, żeby się nie porozłazili, każesz sprowadzić wszystkie wiejskie muzyki, niech sobie potańcują. Całą załogę zebrać mi zaraz do kurdygardy zamkowej, podmusztrujemy ją trochę tymczasem...

— *Styszu bad'ku*—rzekł kozak już z subordynacją i miał odejść.

— Jeszcze nie wszystko, poszlesz mi zaraz kogoś sprawnego do pp. Syszki i Rulikowskiego.

— Dacie zapiski bad'ku...

— A nie... lepiej tak z językiem, bo zapiski mogą zgubić lub w razie napadu wytrzęsą im; niech tylko opowiedzą co się tu święci, a poproszą w imieniu pani Starościny, aby sami i zebrawszy co będzie można szlachty i pewnych ludzi tu się zbrojno stawili.

Nazajutrz od rana miasto się ożywiło: na obszernym rynku pod ratuszem obozowało parę tysięcy chłopów z całymi rodzinami, od rana do wieczora przygrywało im na przemiany kilka muzyk wiejskich, młodzież hasała. Traktament był suty, tak iż o rozejściu się do domów niktby nie pomyślał.

---

„Palanica” placek żytni na węglach pieczony.

Cichy dwór kalnobłocki był do niepoznania, tak teraz gwarnie i militarnie wyglądał. Na dziedzińcu zamkowym musztrowała się załoga pod okiem Temberskiego i atamana. Wyciągano i rychtowano moździerze i szmigownice, wszelką broń czyszczono—słowem niczego nie zaniedbano co czynić na wojnę przystało. Mosty pozwodzono, bramy pozamykano, gęste patrole snuły się dookoła okopów, nikogo bez hasła nie wpuszczając. Kiedy młodź szlachecka w liczbie kilkunastu, stawiała się na wezwanie zbrojno pod wieczór, sam pan Temberski wyszedł naprzeciw na rekonnesans, aby ich na zamek wprowadzić.

Oddajmy sprawiedliwość bliźniątkom, iż będąc niemniej od wszystkich czynnemi, nie dały się nikomu wyprzedzić, przywdziawszy męskie suknie, wszędzie stanęły do pomocy, do wszystkiego białych, a czynnych rączek przyłożyły. Nietylko młodzi szlachcice, ale i prostaczkowie wielce w nich sobie upodobawszy, Urszulkę jednogłośnie wicekomendantem okrzyknęli.

Ażeby się nie dziwowano, że czasu wojny gorącej i popularnej tak dużo młodzi szlacheckiej znalazło się po za obozem—winniśmy wyjaśnić iż działa się to już przeszło w miesiąc po opisanej bitwie, w której zginęli Grześ i Starościc. Bitwa to była ostatnia, nie dla tego, aby wojnę rozstrzygała, ale że król odwołał wojska, oczyszczając w ten sposób pole działania dla konfede-



racji Targowickiej. Przybywający tedy na odsiecz staroście, byli ochotnicy, którzy się na czas wojny zaciągnęli. Wiedzieli nawet o śmierci jej syna, lecz w tak przykrych alternatach nikt z tą smutną wieścią nie śpieszył.

Targowiczanie również nie zasypiali gruszek w popiele, zbroili się, wysyłali swoich na przespieszeni; atoli to im się nie powiodło bo czujny Temberski zaraz pierwszej nocy pojmałszy trzech zakradających się pod okopy, kazał na najwyższej bramie powiesić i tak do końca mieli pozostać; że zaś wszyscy trzej odziani byli w barwę milicji Potockich, to już zaczepka była jawną i krwawą utarczkę zapowiadała.

Kiedy już szpiegi wzięły języka, że milicja Targowicka o dni parę marszu zbliżyła się pod zamek, Temberski puścił się na taki fortel: kazał jawnie zaniechać podjazdów i placówek, a pilnować tylko niepostrzeżenie zdaleka ruchów nieprzyjacielskich; wiedząc zaś, że ich podjazdy przepłoszone szubienicą, zdala się trzymają, kazał pozaprzągać karoce i landary zamkowe i opakować ładunkami jak na dalszą drogę, a osadziwszy w nie dziewczki służebne pod konwojem puścić cały tabor w cwał ku Białocerkwi; tak ażeby przez podjazdy nieprzyjacielskie był widziany, ale żeby go pojmać nie mogli. Tymczasem wysłał z miasteczka zaufanego żydka z chłopem, jako podróżnych na wozie, tą drogą aby się

dali schwytać przez obóz Potockiego; wiedząc iż spokojnym podróźnym krzywdy nie wyrządzą, a co najwięcej konie zabiorą, które sakryfikował—ale zawsze indagować będą i oni to mieli potwierdzić wieść, o której rozszerzenie chodziło. Temberskiemu, że starościna z całym dworem opuściła zamek, który też został rozbrojony, skoro się dowiedziano o przeważnej sile nieprzyjaciela.

W zamku nakazano ciszę absolutną, nikt we dnie na zewnątrz się nie śmiał ukazać. Cała załoga musiała poprzestawać na suchej strawie, ażeby dymiące kominy podstępnie nie zdradziły. Z nastaniem zmroku wcale nie zapalano świec, za wyjątkiem paru komnat, które wcale okien nie miały. Strzelnice z moździerzami i szmigownicami osłonięto słomą, tak iż zdawało się być się zdawały. Tak ową tajemnicę zręcznie ukartował pan Temberski, iż krom zachowanej w obszernych lochach załogi, nikt na zewnątrz nie wiedział o tym fortelu; nawet uczujące pod ratuszem gromady chłopków były przekonane o ucieczce państwa i zaraz opadli starego Iwana jako zbliżonego do dworu, czyniąc mu gorzkie wyrzuty:

Służyliśmy wiernie nieboszczykowi panu staroście przeszło lat dwadzieścia, a już dziesiąty rok jego wdowie pani staroście i zatoż nas starościńskich ludzi chcecie oddać w pańskie poddaństwo? Wszyscy pouciekali, a nas bronić nie ma komu!..

— Głupi jesteście!.. a kto wam powiedział, że państwa nie ma w domu? — perswadował Iwan.

— Przecie widzieliśmy kiedy w nocy wyjeżdżali, i to w cwał, z obawy abyśmy ich nie zatrzymali, uciekli przed swoimi wiernymi ludźmi, czy tak się godzi?

— Ej głupi wy, głupi! nie znacie waszych panów i nie pojmujecie co w tem jest; niechże dwóch z was pójdzie cichaczem za mną i przekonajcie się, że żywa dusza z tamąd się nie ruszyła i sam pan Tomberski na miejscu, a pojazdami coście widzieli, wyjechały służebne.

— Ano, wierzymy wam Iwanie—ozwała się zdziwiona i uspokojona gromada.—Ino powiedźcie dla czego to wysłali służebne pod konwojem, bo nam się to w głowach nie mieści.

— Właśnie w tem rzecz, żeby się obronić, bo tych humańskich zabijaków co najmniej pięć razy więcej niż nas, liczbą przomogą, więc trzeba ich wziąć podstępem.

— A to jak?—pytali zaciiekawieni.

— Oni tam już w obozie wiedzą o tej niby ucieczce panów i myślą sobie że sami chłopci bez bronni, opierać się daremnie nie będą, więc się też im poddamy...

— Poddamy się?—przerwali z oburzeniem.

— Niby to się poddamy—ciągnął Iwan—ażeby wpadli w samotrask. Owóż jak to będzie: wystąpią jak się w takich razach praktykuje, sami

*didy, zinki, ta diwki* (dziady, kobiety i dziewczki) i będą prosili o pardon, wytoczą beczki z miodem, wódką i piwem, a poproszą na poczęstne; młodyce i dziewczki będą się im przymilaly, żartami broń im pozabierają, spoją całe to tałalajstwo. Stary Jakow sotnik starościeński rzocz całą mądrze poprowadzi, a on szczwany lis...

— A potem co z tego będzie?—pytali zaciokawieni.

— Ja się ukryję na dzwonnicy i będę patrzył z góry... skoro zaś te hajdamaki dobrze podpiją, uderzę we dzwony, a wtedy wszystkie baby padły do ziemi, odkryją wał, poza którym my będziemy ukryci ze strzelbą, damy ognia z moździerzy i szmigownic, a sprażym co się zowie tych wrażych synów... i znów jak dotąd pozostaniemy!.. A teraz rozumiecie?

— Na zdrowie wam atamanie!—U was mądru głowa jak u popa!—huknęła gromada wznosząc czarki do góry.

— Tylkoż żeby baby nie pokpiły, upijając się same—wtrącił Iwan.

— O już nie obawiajcie się, my im dobrze nakiwamy, bo tu idzie o los!..—odpowiadala gromada

\* \* \*

Nazajutrz o świcie mieszkańcy Kalnegoblota dojrawszy z dala, przez wzbite tumany kurzu, silny zastęp naprzeciw nim dążący, wzięli się do przygotowań na przyjęcie gości: u brama miasta wytoczono beczki z gorzalką, piwem i miodem,

przy których stanęło kilku starców z sotnikiem Jakowem na czelo, trzymającym chleb i sól na białej płachcie. Otaczali ich wszystkie wiejskie molodycy i dziewczki, w odświętnych strojach.

Wiedzieć należy, iż pozycja była pagórkowata, tak iż stojące na niej gromady zakrywały sobą wał i palisadę zamkową.

Dążący ku miastu napastnicy, dojrawszy z daleka u bram jego tłumy, sądząc je być odpornymi, sprawiwszy szyki w dwie zwarte kolumny wyciągniętym marszem biegli do ataku. Tymczasem Jakow i starszyzna stojąc spokojnie u bram przy pełnych beczkach, z rozwiniętymi białymi chorągwiami parlamentarzy, mieli czas przyrzec się napastniczej drużynie: była to zbieranina złożona z przeróżnego motłochu, z którego przed dwudziestoma przeszło laty, rekrutowała się rzecz humańska. Na czelo szła mała tylko kupka szlachty, dowodząca milicją Potockiego; odziana była w uniformy i miała chorągiew niebieską z półtrzecią żółtego krzyża i jako tako militarnie wyglądała; przed nimi przodem szli surmacze i dobosze przeraźliwą muzykę dobywając. Pierwsze tylko szeregi zbrojne były dobrze w strzelbę, ciągnęły też przy sobie parę szmigownio. Reszta uzbrojona była po hajdamacku, w kosy, widły, cepy, spisy, lub kije z końca poopalane.

Z początku szli pędem jakby do ataku, lecz skoro zbliżając się dopatrzyli nieodpornego i cale

pokojowego wzięcia się nieprzyjaciela, zwolnili kroku i podeszli spokojnie. Wtedy Jakow podsuwając się z chlebem i zolą, wystąpił z perorą:

— Panowie nas opuścili, młodzież się rozbiegła, my się bronić nie myślimy; nie chcemy już być starościńskimi, i prosimy żeby wasz pan przyjął nas w poddaństwo.

— Za zdrowie naszego nowego dziedzica pana Potockiego!—zawołali starościńscy wznosząc ozarki do góry.

To poddanie się od razu rozbroiło nieprzyjaciela, a tem bardziej iż miasto przelotu krwi, lala się gorzalka, tak miła motlochowi. Zaraz z szarego końca broń porzucili, przystępując do dziewczuch i młodych, które im się mizdrzyły i wdzięcznie uśmiechały. Aż tu i skrzypki skocznie zabrzękły, poszli w tan i do reszty zabaczyli sierdzitości bojowej. Cóż im więcej czynić pozostawało kiedy zwycięstwo bez wystrzału otrzymali? Z początku usilowali przezorni wodzowie powściągnąć tę ochotę, lecz się im hajdauaki oburkuęli:

— To ichmościowie (powiadali) gdyby się trzeba było bić pehalibyście nas naprzód, a teraz kiedy można pohulać to chcecie nas cofać... nie z tego, bo choć zwycięstwo dostało się za darmo, przeto zawsze intencją wojowania mieliśmy!

Stary Jakow zachęcał do pijatyki, powtarzając:

— Raczcie się chłopcy, pijcie, bo my już razem z wami do jednego pana należymy „a tylki mużyc-

*koho szo w czarci*" (tyło chłopskiego co w kieliszku.)

Dowcipniejsze molodyce, wtajemniczone w zamiary starszyny, skrzytnie zabrały się do mołojców:

— Ano — rzeknie jedna druga — wystrzel-że mi mój miły na tę radość, bo już ci się ten nabój na nie nie przyda, kiedy się samo poddajemy.

Inne broń swomu adonikom podbierawczy w burzany pozarzucaly. Okolo południa już większa połowa wojowniczej kupy nie trzymala się na nogach wielu na śmierć zapojonych usnęło na ziemi.

Wtedy Jakow, obserwujący na dzwonnicy z przybrauemi chłopiętami, uderzył ze wszystkich sił wo dzwony jak na gwałt. W oka mgnieniu spełniając rozkaz, niewiasty przypadły twarzą do ziemi, starcy usnęli się na bok, a w tymże momencie załoga ukryta w fosie wyskoczyła na wierzeh i rażno ogniem sypnęła; jednocześnie moździerze i szmigownice z zamku prażyć napastników zaczęły.

Trudno wyobrazić sobie ogólnego popłochu; samo to przypadnięcie niewiast do ziemi, obudziło pewną panikę religijną; lud bowiem prosty ma wo zwyczaju rzucić się na ziemię przy bicia piorunów i tłuszcza uciekającego zaczęła lamentować:

— Bóg karze, żeśmy się chcieli targnąć na niewinnych własnych braci!

I jeśli umykać co temu, nie powstrzymały ich nawoływania starszyny, która ów fortel — zapóźno wprowadzio — spostrzegła. Lecz oni widzą wo tem

wszystkiem wyższą siłą i pomstę niebios, perswazjom nie dając ucha, od razu plac boju oczyścili.

Nim załoga zamkowa na nowo broń nabita już działać przeciw komu nie było, na pobojowisku pozostało bowiem kilku silniej rannych nie zdolnych do ucieczki.

Niewiasty wiejskie rozumiejąc, że tryumf zwycięstwa im przynależy, powstawszy z ziemi radosnemi krzykami napelnily powietrze i wracając w tryumfie do obronionego przez się miasta hałaśną ucztę zwycięzców rozpoczęły.

Tak się zakończył ostatni zajazd na Ukrainie a może i w Rzeczypospolitej!..

---

## XV.

Podczas całej wyprawy starościcowe były najczynniejszymi żołnierzami. Po ucieczce nieprzyjaciela, kiedy wszyscy oddawali się radośnemu tryumfowi lub topili w czasy sławę wojenną, obie młode niewiasty litośnem uchem chwytając jęki rannych, których nikt zdawał się nie słyszeć, pośpieszyły z ratunkiem na miejsce pobojowiska, gdzie kilku rannych się najdowało: jeden z nich w mundurze oficerskim leżał spokojnie na płaszczy z przywkniętymi oczyma, nie wydając najmniejszego jęku. Starościcowe do niego w przód przybiegły. Na szmer ich kroków, leżący zerwał



się na równe nogi, one zaś odskoczyły z trwogą... poznając w nim Stacha Orlika.

Ażeby nas nie posądzono, o fortel powieściopisarski, iż dla wywołania silniejszego wrażenia, wprowadziliśmy tu Stacha z przeciwnego obozu, jako *Deus ex machina* musimy wrócić się do czasu kiedyśmy go widzieli po bitwie pod Dubienką, grzebiącego zwłoki brata i następnie dźwigającego, a niezużytego rannego starościca.

Po dopelnieniu tych czynności, znikł od razu z obozu i w świat poszedł—nie do wsi rodzinnej bo tam nie miał co robić, nie go już nie przywabiło—ale puścił się tam dokąd go pociągały dwa nie licujące ze sobą uczucia, miłość szalona i pragnienie krwawej zemsty—wędrował ku Zwinogródcu.

Nim dotarł do Ukrainy, tam już się na dobro rozkwitła świeżo zawiązana konfederacja Targowicka; wiadomo że adherenci jej szlachtę niechętną do akcesu godziwymi i niegodziwymi, politycznymi i niepolitycznymi środkami ścigali, jak to mieliśmy przykład na opisanym zajęczdciu. Z prostymi ludźmi mniej wykwinutych używano tontacji: trafiano w próżność ambitnych obietnicą kariery i krescytywy—chciwych obietnicą dzierżaw, zastawów etc.—a nawet poprostu grosza ofiarowanego ciepłą ręką. Zdarzało się i to, że upojonym trunkiem podsuwano akces do podpisu—nieczego się bowiem nie sromali owi konfederaci. Atoli Stach był obojętny na wszelkie zys-

ki, partje, a nawet na dobro kraju, wilo mu się wciąż bowiem po zapalanej głowic:

„Ją odszukać.. pomścić się jej wzgardy i wiarolomstwa!..”

Albo i czasem znowu mawiał sobie z rozradowanem sercem:

„Kto wie co się stać może?.. wszak ona teraz wdową!”

Szedł pieszo, bo konie potracił w bitwach, ale przeto pospieszał i nie czuł zmęczenia, bo myśli i żądze jakby mu skrzydeł dodawały. — Po długiej i nużącej podróży stanął w Tulczywie, gdzie jako w rezydencji generalnego marszałka, silniej się konfederacja agitowała. Tam znów go opadnięto wszelaką zachętą i obietnicami, lecz zawsze był głuchym na wszystkie pokusy.

Wszakże skoro się Orlik dowiedział o zamierzonym zajęciu na Soltyków, uczynił akces do konfederacji, pod warunkiem, że przyjmie czynny udział w tej wyprawie. Nie wahano się akceptować kondycji, tombardziej, iż szlachta składająca oną konfederację, nieszczęsna, po większej części *volens nolens* z biedy i przymusu, sromotała się tej wyprawy jako niesprawiedliwej, dybiącej na krew bratnią w widokach buty i obłądu magnackiego. Nie tylko więc Orlika chętnie przyjęli, ale ze krom niego najdawało się wielu przerzutników z tamtego obozu, świadomych jego nieustraszonej odwagi i dzielno-

ści, — temu powierzono mu komendę nad motłochem, do objęcia której co prawda, nie wielu było statecznych i poważnych ochotników. Tyle jest wyjaśnienia, co dotyczy udziału Stacha Orlika w tej wyprawie, której fatalny skutek dopiero widzieliśmy.

Skoro tłuszcza pijana go odbięła, a przekonał się, iż stał się ofiarą dość naiwnego podstępu i że znów jak niegdyś zwały go podwiki, zakipiał strasznym gniewem, widząc zawiedzionych tyle trudów i zabiegów dla spotkania Urszulki. Na widok zamku, który mu się szyderezo naigrawał, zacisnął pięścic, zazgrzytał zębami. Zdobywał na nowo to rozpaczliwe przekonanie, iż próżnym jest gniow bezsilnego. Rzuciwszy się na rozciągnięty płaszcz na ziemi mówił sobie w duchu:

— Tu pozostanę na zawsze, dopóki jej się nie doczekam.

Lub może prawdopodobniej nie sobie nie powiedział, jako człowiek stający się igraszką i pośmiewiskiem fatalnego losu...

Siostry na widok Stacha wynędzniałego, o surowej twarzy i gniewnem wejrzeniu, przez chwilę odrętwiały ze strachu na miejscu, a potem nagle zwróciły się do ucieczki.

— Poczekajcie, pomówimy trochę jak starzy przyjaciele! — szyderezo ozwał się Orlik, zabiegając drogę Urszuli.

— Wielkim zaprawdę trudem zdobyłem ten

pożądany moment rozmowy, abym go się tak łatwo zrzekał!.. tyło na to przebiegłem kraju, nie sromalem się objąć komendy nad hajdymackim motłochem, który zwaloczyliście wprawdzie podstępem, należy mi za to jednak łaskawe słówko.

Siostry zmuszone do pozostania milezały strwożone. Hanka mimowoli wdał się zapatrzyła, zapewne szukając Grzesia, który jako mniej gwałtowny, niezawodnie pośpieszyłby im na pomoc.

Orlik dostrzegłszy to badaweze spojrzenie—ozwał się smutnie i ponuro:

— Nie szukaj daremnie Grzesia, bo już go nie ma na ziemi, zabiliście go waszą zdradą... Szukał biedak śmierci desperackiej na wojnie, lał na nią jak ęma do światła i nakoniec znalazł.

Hanka pobladła, lzy się jej zakręciły w oczach.

— Ponieważ jako bliźnięta dzielicie ze sobą wszelki sentyment—mówił Orlik z szyderstwem do Urszulki—więc abyś i ty miała czego się smuć, toć powiem żeś jest wdową, ukochany twój małżonek poległ w tej samej bitwie co i Grześ.

— Klamiesz!—zawołała Urszula błędna.

— Przysięguę, jeżeli tego żądasz, lecz czyliż ty wierzysz przysięgom, sama je łamię?

— Powiedziałeś swoje, ubodłeś mię w serce, już musisz być zadowolony, więc żegnaj — rzekła zimno Urszulka, gotując się do odejścia.

— O nie!.. zadługo czekałem na te gody spotkania z tobą, abym je tak rychło pozbył—

wypowiedział z determinacją Stach zabiegając jej powtórnie drogę.

— Pobiegnę zawołać pomocy — zdolala szepnąć Hanka do siostry, podczas kiedy Stach wykrzykiwał i pędem puściła się ku zamkowi.

Skoro odbiegła dalej Orlik rozstawiając ręce bardziej się zbliżał do Urszuli, lecz że ta dotąd miała strój męski na sobie i strzelbę przewieszoną przez ramię, odskoczywszy parę kroków w okamgnienia odwiodła kurek i zmierzyła.

— Ażali ma się powtórzyć scena z polanki kiedyś mię zraniła — rozpoczął z urąganiem, lecz nagle zmieniając ton na błagalny i pokorny, mówił ze złożonemi rękoma:

— Posłuchaj mnie moja miła, moja jedyńska!... Ja ci tamto wybaczam... Puszczam w zapomnienie, niecham na zawsze zemsty, która mię tu przywiodła... Nie mam już do ciebie żalu za przeszłe, boś tam stawała w obronę panińskiego wstydu, nie chciałaś iść w brew woli ojca... dziś jesteś wolną, od siebie zależysz, a ja bez ciebie żyć nie mogę... Twój widok mię rozbroił, widzisz, iż cię miłuję do szaleństwa, dla czegoż uną pogardzasz, czemu odrzucasz affekt człowieka, który bez ciebie żyć nie może, dla twojego szczęścia gotów wszystko poświęcić!.. Patrz!.. ja klęczę przed tobą jak przed Bogiem i przysięgam!...

— I ja przysięgam na Boga i wszystko najświętsze, iż gdybym nawet była wolną jak po-

wiadasz, nigdy twoją nie będę!..—wymówiła stanowczo.

— Tak!.. wiarołomna!.. Zasmakowały ci bogactwa i życie zbyt kowne, których dać bym ci nie mógł!.. Tyś podła, nie masz serca, nie wyżyjesz samą miłością!..

W tej chwili wysypała się z zamku zbrojna załoga, z krzykiem zbiegając z góry.

— Ha! więc to tak!.. odsiecz przeciwko mnie, może myślisz iż dam cię wydrzeć sobie żywą?.. Po raz ostatni pytam, chcesz być moją?—ryczał już Orlik zapieniony ze złości, wznosząc rącznicę do góry.

— Nie, nigdy!—odparła z mocą Urszula.

— Więc nieżyją nie będziesz!..—wykrzyknął wściekle.

W jednej chwili padł strzał i ugodzona w samo serce Urszulka wydając jęk ostatni padła na ziemię. Drugi jęk taki dał się słyszeć na górze, i Hanka chwytając się za serce:

— Ach Urszulka!—jęknęła i w jednej chwili z siostrą skonała.

Zwycięzkiej załodze pozostawała już tylko zemsta nad Orlikiem. Długo się nad nim pastwiono, zanim w srogich męczarniach twardego jego duszę wydarto. Nakoniec rozdziawiono jego ciało, jako ofiarę dla srogiej Nemezis, rozwieszono na kilku szubienicach.

P. S. Staruszek ze słów którego powyższą relację spisałem, powiadał iż na opuszczonym niegdy unickim cmentarzu w Kalnychbłotach oglądał na dwóch połączonych kamieniach napis w połowie łaciński i polski, opiewający jednoczesną tragiczną śmierć bliźniątek. Z nadpisu acz znacznie zatartego, wyczytał tylko dwa ostatnie wiersze, które tu dosłownie powtarzam:

„Tak sióstr, którym los znać był konjunktury  
bliźnie.

Śmierć sroga nie rozdziela w niebieskiej ojczyźnie.“

K O N I E C.



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

**Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42**









F  
433